

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.



Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 20 stycznia 1912 Nr. 3.

Morderstwo na dworcu kolejowym.

Morderstwo na dworcu kolejowym.

(Do illustracyi tytułowej).

Głośna afera kradzieży kolejowych we Lwowie weszła obecnie w nową fazę, bo zaznaczyła się nawet morderstwem.



Morderstwo na dworcu kolejowym: Magazynier kolejowy we Lwowie, Stanisław Piwoński, który zginął pod kołami wagonu.

Jak wiadomo, dzięki przypadkowi wykryto tam wielkie defraudacye, popełniane od kilku lat na szkodę kolei i publiczności. Zawiązana była formalna banda, która stale kradła różne wartościowe przesyłki kolejowe, usuwając je po cichu z magazynów kolejowych i sprzedając potem na mieście. Śledztwo sądowe ustaliło, iż kradzieży dopuszczano się już od lat sześciu, a na czele szajki stali magazynierzy Wallner i Wolf.

W czasie dochodzeń zaczął się jednak materyał śledczy coraz bardziej rozszerzać. Przesłuchiwania coraz to nowych świadków powiększyły liczbę uczestników szajki, tak, iż obok Wallnera i Wolfa znalazło się w więzieniu jeszcze kilka innych osób. Między świadkami znajdował się także magazynier kolejowy Stanisław Piwoński. Znał on podobno dokładnie historyę popełnianych kradzieży, jak również nazwiska ludzi, kt[illegible] w nich uczestniczyli, a którzy jeszcze nie [illegible] objęci śledztwem.

Nagle w t[illegible]niach zaszedł na dworcu we Lwowie „nieszczę[illegible]wy wypadek". Piwoński dostał się pod koła sz[illegible]cego pociągu i poniósł śmierć na miejscu. K[illegible]zecięły mu ciało prawie na połowę. Z począ[illegible]k[illegible]o, że zaszedł fakt samobójstwa. Okoliczno[illegible] jed[illegible] w których ciało znaleziono, wskazywały raczej [illegible]morderstwo. To też policya rozpoczęła energiczne dochodzenia. Stwierdzono, że Piwoński, z którym chwilę przed wypadkiem rozmawiało kilku jego kolegów, niczem nie zdradzał zamiarów samobójczych. Na miejscu, gdzie leżały zwłoki, nie znaleziono prawie zupełnie śladów krwi, mimo iż ciało zostało zupełnie przecięte. Charakterystycznem jest także iż nie czekano na przybycie policyi i komisyi s[illegible]ej, którą po wypadku zawezwano, ale ciało [illegible]ko z toru usunięto, a wszelkie ślady zatarto i zasypano piaskiem.

Na ciele zabitego znaleziono ponadto przy oględzinach lekarskich ciekawe obrażenia. Na prawej skroni zabitego było silnie zsiniałe miejsce, jakby od uderzenia tępem narzędziem.

Wobec tych faktów najprawdopodobniejszem wydaje się przypuszczenie, że Piwoński został nagle pchnięty pod koła przejeżdżającego pociągu i zginął na miejscu.

Za tem, iż było to morderstwo, przemawia także i ta okoliczność, iż w tym dniu, kiedy morderstwo zostało spełnione, miał on popołudniu stawić się po raz pierwszy u sędziego śledczego celem złożenia zeznań w sprawie kradzieży. A właśnie tych zeznań bardzo się obawiano.

Illustracya nasza przedstawia chwilę, kiedy Piwoński ginie pod kołami wagonu. Prócz tego podajemy podobiznę ofiary tego niezwykłego mordu.

Manifestacya nauczycielstwa galicyjskiego.

Siła i przyszłość każdego narodu leży w oświacie jak najszerszych mas ludowych. Jest to pewnik, uznany przez wszystkich. Lecz praktyka często odbiega od wskazań teoryi.



Zgon zacnej obywatelki: S. p. Marcela z Tarnawieckich Małachowska, wdowa po ś. p. Godzimirze, b. prezydencie miasta Lwowa. (Do artykułu na str. 10).

(Fot. M. Münz, Lwów).

Zdawałoby się, jeśli oświata ludu jest tak ważnym czynnikiem w życiu każdego społeczeństwa, to ci, co niosą ten kaganiec oświaty — nauczyciele ludowi — powinni przynajmniej mieć zapewniony byt znośny... Niestety, w Galicyi, gdzie bądź co bądź na polu oświatowem dużo

Manifestacya nauczycielstwa galicyjskiego: Krajowy wiec nauczycieli ludowych w sali Pałacu sportowego we Lwowie.

się robi, klasę najbardziej zawsze upośledzoną pod względem materyalnego wynagrodzenia stanowią właśnie nauczyciele i nauczycielki ludowe... Wprawdzie wszystkie miarodajne czynniki uznają potrzebę poprawienia doli nauczycielskiej czemu dawały nie jednokrotnie wyraz — ale kończy się tylko na tych platonicznych wynurzeniach i obietnicach... To też nauczycielstwo ludowe w Galicyi coraz energiczniej zaczyna się domagać poprawy swego losu. Wyrazem tych słusznych żądań był właśnie odbyty w tych dniach we Lwowie wiec, na który ziechało się nauczycielstwo ludowe całej Galicyi, aby sejmowi galicyjskiemu przedstawić swe żądania. Raz już obradował we Lwowie pierwszy taki ogólno krajowy sejm nauczycielski. Podniesiono na nim szereg słusznych skarg, których usunięcia nauczycielstwo całego kraju wyczekiwało od sejmu. Ponieważ jednak poprawa bytu mimo długich oczekiwań nie nastąpiła, postanowili nauczyciele jeszcze raz zakołatać do sejmu i imponującą manifestacyą zaznaczyć swą solidarność i poprzeć powagę swych postulatów.

Na obecnym wiecu we Lwowie zgromadziło się przeszło 10.000 nauczycieli i nauczycielek z całego kraju. Z różnych stron Galicyi podążyli oni specjalnymi pociągami. W sali „pałacu Sportowego“ toczyły się obrady. Zjazd witali radny m. Lwowa J. Solecki, p. Malicki i radny m. Krakowa p St. Nowak. Po wyborze prezydyum wiecu, w skład którego weszli przedstawiciele nauczycielstwa z różnych stron Galicyi, obszerny referat wygłosił p. Smulikowski. Przedstawił w nim ciężką dolę nauczycielstwa ludowego oraz streścił nadzieje, jakie żywi ono, oczekując pomocy ze strony sejmu krajowego.

Przemawiali następnie posłowie sejmowi i parlamentarni w imieniu różnych stronnictw politycznych, uznając słuszność żądań nauczycielstwa.



Manifestacya nauczycielstwa galicyjskiego: Demonstracya przed gmachem sejmowym: Poseł Wittyk zawiadamia zgromadzone tłumy nauczycieli o odpowiedzi Marszałka krajowego.

Ponieważ wszyscy uczestnicy manifestacyi nie mogli się pomieścić w sali obrad, przed budynkiem „Pałacu“ zorganizowano drugie zgromadzenie, a mowcy przemawiali z balkonu.

Po wiecu udała się deputacya, na nim wybrana, do gmachu sejmowego, aby wręczyć marszałkowi krajowemu hr. Badeniemu uchwalone rezolucye i prosić o życzliwe poparcie żądań nauczycielstwa w Sejmie. Wraz z deputacyą ruszyły pod gmach sejmowy wielotysięczne tłumy zgromadzonych.

Policya jednak zamknęła kordonem dostęp do gmachu sejmowego, przepuszczając tylko dziennikarzy, posłów i deputacyę.

Marszałek Badeni przyjął wysłanników nauczycielstwa bardzo życzliwie, zwrócił jednak uwagę na to, że finanse krajowe są w bardzo złym stanie.

Odpowiedź marszałka zanieśli delegaci zgromadzonym tłumom, które w ogrodzie Jezuickim i w przyległych ulicach oczekiwały odpowiedzi. Po kilku przemówieniach, w których mowcy powtórzyli zgromadzonym słowa marszałka, manifestacyę zakończono.

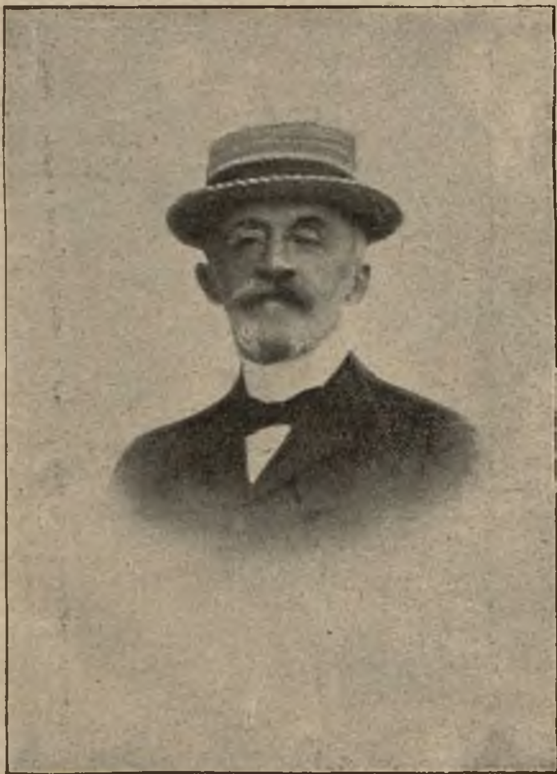


Pożegnanie prezydenta sądu: Uroczystość pożegnalna na cześć ustępującego prezesa sądu wyższego we Lwowie, J. E dr. Tchórznickiego.

Pożegnanie prezydenta sądu.

Swiat sądowniczy galicyjski żegnał w ubiegłą niedzielę ustępującego prezydenta sądu krajowego we Lwowie, dr. Tchórznickiego. Obszerna sala rozpraw sądu karnego we Lwowie przybrała na ten dzień bardzo uroczysty wygląd. W zwykłych warunkach jest ona pełna grozy i powagi. Na ten raz zrzuciła swą poważną szatę, natomiast zapełniła ją zieleń, kwiaty i liczni goście, przybyli na tę pożegnalną uroczystość. Ławy przysięgłych zajęli najpoważniejsi przedstawiciele sądownictwa galicyjskiego. Ławę adwokatów przeznaczono dla mowców, zaś całe audytoryum wypełnili po brzegi urzędnicy sądowi i prokuratorzy.

O godz. 11 przedpoł. wprowadzono do sali uroczyście prezydenta dr. Tchórznickiego. Piewszy przemówił do niego wiceprezydent apelacyi p. Przyłuski, streszczając w swem przemówieniu obfite owoce cztrerdziestoletniej pracy jego na polu sądownictwa. Z uznaniem podniósł starania jego około rozwoju stanu sędziowskiego w Galicyi, zwłaszcza zaś około reformy procedury cywilnej. Ponieważ dr. Tchórznicki nie życzył sobie hołdów, sędziowie i prokuratorowie postanowili uczcić jego pamięć i zasługi przez



Nad świeżą mogiłą: Ś. p. Tomasz hr. Stadnicki.



Pożegnanie prezydenta sądu: Uroczystość pożegnalna na cześć ustępującego prezesa sądu wyższego we Lwowie, J. E Tchórznickiego, podczas przemowy radcy Przyłuskiego.

utworzenie fundacyi zapomogowej, na którą złożono 24 000 K. Nosić ona będzie tytuł fundacyi im. Tchórznickiego.

Imieniem prokuratorów uczcił zasługi prezydenta prokurator p. Hinze. Następnie przemawiali delegaci sędziów, między innymi p. Mandyczewski, delegat z Bukowiny, który mówił po niemiecku.

W odpowiedzi na te dowody serdecznej życzliwości dr. Tchórznicki podniósł z uznaniem energię, sprawiedliwość i bezstronność stanu sędziowskiego w Galicyi. W końcu wyraził radość, że spadek po nim obejmuje człowiek o wypróbowanym charakterze, jakim jest nowy prezydent dr. Adolf Czerwiński. Przemówienie to zebrani przyjęli hucznymi oklaskami.

W dzisiejszym numerze podajemy ilustracye z tej podniosłej uroczystości. Jedna z nich przedstawia uroczystość w chwili przemówienia wiceprezydenta Przyłuskiego.

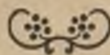
Zawody łyżwiarskie we Lwowie.

Wśród wielu sportów, jakim oddaje się dzisiaj młodsze pokolenie, na pierwszy plan pod względem zdrowotnym wybijają się sporty naturalne, jako dające wiele ruchu na świeżem powietrzu, wzmacniające fizycznie i rozwijające doskonale sprężystość i odporność ciała. Do takich przedewszystkiem należą takie sporty, jak wioślarski, łyżwiarski, narciarski i t. p. Zwłaszcza sport łyżwiarski zasługuje na wyróżnienie, jako zdrowe ćwiczenie cielesne.

I u nas z nastaniem zimy zaroiły się wszystkie stawy młodzieżą obojga płci. Jak w każdym innym sporcie, tak i w tym są gorsi i lepsi jego „mistrze". W ubiegłym tygodniu odbyły się we Lwowie staraniem Lwowskiego Tow. Łyżwiarskiego zawody o mistrzostwo austryackie, połączone z zawodami międzynarodowymi.

Udział w zawodach wzięło wielu doskonałych łyżwiarzy austryackich, którzy popisywali się przed licznie zebraną publicznością doskonałą jazdą szybką i sztuczną. W międzynarodowych zawodach seniorów palmę pierwszeństwa zdobył p. Bohrer, otrzymując w nagrodę dar honorowy ministerstwa robót publ., szpilkę z brylantem i szafirem. Drugą nagrodę wziął p. Hauger, trzecią p. Weidinger. P. Bohrer zdobył także mistrzostwo austryackie. W jeździe sztucznej pierwsze nagrody wzięli pp. B. Wróbel, Oppacher i Kachler. Zawody w walcu wygrała para Lwowian, pp. Olga Poźniakówna i H. Przedrzymirski.

Ilustracye nasze przedstawiają grupę pięciu zwycięzców, oraz komisyę, która urzędowała na torze.





Zawody łyżwiarskie we Lwowie: Grupa zwycięzców: Weidinger, Pirker, Bohrer, Papius, Hauger.



Zbrodnia uwodziciela: Ludwik Grudziński, sprawca zamachu na Kazimierę Zielińską w Pruszkowie pod Warszawą.



Zawody łyżwiarskie we Lwowie: Komisya sędziów z mistrzem Kachlerem w pośrodku.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

19) Adaptacya z angielskiego.

Minutę, a może i dwie panowało milczenie, przerywane tylko śpiewem kosa, który chciał widocznie popisać się świeżo wyinwentowanemi waryacyami. Poczem ona znowu spojrzała na mnie, a w cudnych jej źrenicach zajaśniała niewinna wesołość.

— Przyznaj pan jednakże — powiedziała, uśmiechając się uroczo — że to był niefortunny pomysł rzucić się do wody w ubraniu, gdy mogłeś bez przeszkody popłynąć łodzią.

Spojrzałem przed siebie na wpół osłupiały.

Wtem, oczy moje spotkały się z jej łagodnem i miłem spojrzeniem — i na raz oboje zaśmieliśmy się głośnym śmiechem.

Uczułem szaloną żądzę pochwycenia jej drobnej rączki, przed chwilą opierającej się na mojem ramieniu, i złożenia na niej gorącego pocałunku.

— Tak, to był zabawny pomysł — odpowiedziałem nareszcie, powoli i z trudnością — lecz w danej chwili ten jeden wydał mi się dobry i możliwy.

Zaśmiała się znowu niemal dziecinnym szczerym chichotem.

— Czy pan w taki sposób postępuje zawsze?

— Nie wiem... nie wiem...

Milczeliśmy dość długi moment, po upływie którego dodałem:

— Bo widzi pani, spadło to na mnie tak niespodzianie...

— Gdzieżeś pan był, gdy zawołałam po raz pierwszy?

— Leżałem w trawie... tu, w pobliżu...

— W takim razie — szepnęła, rumieniąc się mocno — musiałeś pan....

— Słyszeć panią śpiewającą? Tak.

— Och!

Nowe zaległo milczenie.

Tymczasem kos, z dokładnością wytrawnego i pewnego swojej sztuki wirtuoza, wykonał trudny pasaż śpiewny, najeżony trylami i biegnikami.

Brunatne brwi zmarszczyły się nieco, pełne czaru oczy utkwiły wzrok w trawę, a mała rączka nerwowym ruchem gniotła w palcach gałązkę powoju.

— Dlaczego mnie pan nie uprzedził, że miałam słuchacza?

— Bo przedewszystkiem było już za późno. Gdy pani zaczęła śpiewać, ja...

— Co? — zapytała, widząc, że się waham.

— Spałem.

— Więc zbudziłam pana? Jakże mi przykro!...

— Mnie nie... wcale, a wcale!

Zuchwalstwo moje wzrastało wraz z jej zakłopotaniem. Wyższy od niej wzrostem, spoglądałem na nią z góry, lecz równocześnie wielbiłem ją w duszy i korzyłem się wobec jej uroczego, dziewiczego wdzięku.

Z lekkim odcieniem urazy w głosie, wyprostowała się, podała mi rękę i rzekła nie bez dumy:

— Cokolwiekbądź się stało, dziękuję panu bardzo za oddaną mi przysługę.

Wziąłem podaną mi delikatną, białą rączkę. W mojej dużej, grubej i ciemnej dłoni wydawała się stokroć drobniejszą, a jednak samo jej dotknięcie wstrząsnęło mną jak prąd elektryczny. Serce kołatało mi w piersi gwałtownie, a oczu mych od jej oderwać nie mogłem.

Coś niby chmura zaciemniło niespodzianie pogodę jej ślicznej twarzyczki, słodki zaś głos drżał, jakby zmrożony nagłym chłodem.

— Muszę wracać! Wszakże podziękowałam panu jak umiałam najpiękniej, a nadto...

— Co?

— Proszę bardzo, chciej mi przebaczyć roztargnienie, które sprawiło, że o mało nie dałam panu pieniędzy...

Rondo kapelusza zsunęło się teraz nisko na jej czoło, pomimo to widziałem szczery żal w dobrych oczach.

— Przebaczyć pani! — zawołem. — Kimże jestem, abym się ośmielił pani przebaczać? Miałaś zupełną słuszność, traktując mnie jak nędzarza. Jestem istotnie tylko żebrakiem!

Karminowe usteczka zadrgały i rozwarły się, jak róża, w uśmiechu. Dołeczki w policzkach pogłębiły się nieco, poczem wyrównały się i znikły, w końcu ukazały się znowu; a ciemno zielone źrenice zapałały [illegible]ym blaskiem dobrodusznej wesołości.

— Bądź co bądź, hardy z pana żebrak!

Żart był może niezbyt dowcipny, w danej chwili jednakże rozbawił nas szczerze. Zaśmieliśmy się oboje od śmiechu, tymczasem może nawet głośniejszego niż wprzód. Lecz po śmiechu, wraz z namysłem, przyszło zmartwienie, tem przykrzejsze, że w pierwszej chwili nie wiedziałem jak zaradzić na nie.

— Czy pani rzeczywiście chce odpłynąć? — zapytałem, schylając się równocześnie, aby odwiązać łódkę.

— Tak, koniecznie — rzekła z prostotą i skromnie.

Wydobyła tkwiący za paskiem zegarek i zawołała:

— Ach, jakże bardzo się spóźniłam! Mama musi czekać na mnie, a pociąg, którym zwykle odjeżdżamy, odejdzie. Co począć?... Proszę pana bardzo, pośpiesz się z łaski swojej...

Szalona nadzieja zawładnęła mojem sercem. Wskazałem na jej łódkę i rzekłem:

— Całkiem ją zamoczyłem. Jeśli, jak pani twierdzi, jest już bardzo późno, to lepiej będzie, gdy panią odwiozę w mojej łodzi. Gdzie pani ma wylądować?

— W Streatley. Lecz nie... nie mogę...

— Ja także muszę wysiąść w Streatley, racz wsiąć do mojej łodzi. Jeśli zażądasz, abym nie mówił, milczeć będę całą drogę.

Twarz jej, na której malował się widoczny niepokój, oblała się teraz ponsem gorącego rumieńca.

— Och, nie! nie oto mi chodzi... Przecież dobrze wiosłuję i najniezawodniej dam sobie radę... Co zaś do łodzi, nie troszczę się tem wcale, że mokra....

— Jeśli nie obraziłem pani, to pozwól mi, żebym cię odwiózł...

— Nie, nie!

— W takim razie widzę, że obraziłem panią.

— Proszę nie myśleć nic podobnego... Za cóż miałabym się obrazić?

— Myśleć będę zmuszony, jeśli pani odwieźć się nie pozwoli.

Zawahała się widocznie, znużona prawdopodobnie mojem naleganiem.

— W takim razie, cóż się stanie z moją łódką?

— Uwiążę ją z tyłu do mojej.

Uszczęśliwiony odniesionym domniemanym tryumfem, poskoczyłem czemprędzej ku mojej łodzi, aby ją przyciągnąć i związać z zamoczoną. Nie dałem uroczemu dziewczęciu dłuższego czasu do namysłu, lękałem się bowiem, że może cofnąć swoje milczące zezwolenie. Załatwiwszy się więc żwawo z wiązaniem, podałem jej rękę i dopomogłem do wygodnego usadowienia się na środkowej ławce w mojej łódce.

Czy miałem w życiu szczęśliwszą od tej chwilę?!

Delikatna jej rączka spoczęła w mojej gorącej dłoni na krótki moment tylko, lecz jakże moment ten wydał mi się bosko błogim i rozkosznym. Nigdy może serce moje nie biło gwałtowniej, jak wtedy, gdy odchyliwszy na bok gałęzie, zwieszające się nad naszemi głowami, pochwyciłem za wiosła, by odbić niemi obie łodzie od brzegu.

Milcząc płynęliśmy po spokojnej rzece.

Ona zanurzyła rękę w bystrym prądzie i patrzyła zadumana na zmarszczki, jakie na jego powierzchni tworzyła woda, rozbijająca się o jej paluszki. Długie rzęsy, spływające aż na jagody, przykrywały niby ciemną frędzlą jej oczy, ja zaś, siedząc naprzeciw, pożerałem ją wzrokiem. Nie śmiałem, choćby słówkiem przerwać czaru, jaki roztaczała swoją uroczą postacią, rysującą się kształtnie na stalowem tle rzeki, w ciszy pięknego, letniego wieczoru.

Nagle podniosła główkę, a wzrok jej spotkał się z moim. Wtedy, jaby zawstydzona, opuściła głowę na piersi i zaczęła znowu przyglądać się prądowi.

— Przepraszam — rzekłem bezmyślnie — patrzyłem na panią mimowoli.

Chciała widocznie odważnie stawić mi czoło i coś odpowiedzieć, lecz nadaremnie, bo krew falą gorącą nabiegła jej do twarzy i zmusiła poniekąd zamilknąć; więc znowu pochyliła się nad wodę. Co do mnie, nie wiedziałem jak uniknąć doniosłość słów moich. Usta pragnęły krzyknąć: „Przebacz mi pani!“, lecz nie mogłem zdobyć się nawet na te trzy wyrazy, dławiące mi gardło. Zacząłem więc z całych sił poruszać wiosłami — i milczeliśmy dalej oboje.

Wtem słońce, od dość dawna wiszące nad widnokręgiem, stoczyło się pod ziemię, a brzegi rzeki pokryły się nagle barwą szarą. Równocześnie ucichł śpiew i szczebiot ptaków. Wkrótce potem, zmrok, noc zapowiadający, rozciągnął powoli nad nami swoją oponę. Mgliste zarysy cichej wioski przysuwały się do nas coraz bardziej, coraz bliżej. Lecz ja nie myślałem ani o wiosce, ani o nocy.

Czułem, że to dla mnie chwila uroczysta, że w niej życie moje przeobraża się zupełnie. W miarę, jak cieniami okrywające się wody rzeki zdawały się łączyć i jednoczyć z cieniami nocy na niebie, dawne myśli, namiętności, marzenia i żądze ulatniały się z mózgu i mojej duszy na zawsze.

— Streatley! Tak wcześnie!... Widzi pan — rzekła, spoglądając na zegarek — przybyliśmy na czas.

Serce moje dziękowało jej pokornie za „tak wcześnie“, wymówione przez nią z dziwną prostotą.

Podałem jej rękę, gdy wysiadała z łodzi, i szepnąłem wzruszony do głębi:

— Czy pani mi przebaczy?

— Czy mam panu przebaczyć, że dla oddania mi przysługi naraziłeś się na przeziębienie? Jak można za to żądać przebaczenia?

— Jaka ona dobra! — myślałem, przytrzymując jej rączkę w mojej dłoni.

Księżyc, który już wzbił się wysoko, rzucił snop srebrnych blasków na jej twarzyczkę białą.

— Czy pani tu często przyjeżdża?

— Och, nie! Ja nie co dzień próżnuję, miewam zaś urlop tylko na niedzielę. Mama lubi tę miejscowość, więc niekiedy, w niedzielę, przybywamy tu, żeby spędzić ją razem. Och, jakże zaniedbałam dziś kochaną mateczkę!

W tem, co mówiła, tętniła nuta szczerego żalu.

Wysunęła rączkę z mojej ręki i chciała odejść.

— Proszę jeszcze o chwilkę cierpliwości — zawołałem ochrypłym głosem. — Czy pani chce... Czy pani może powiedzieć mi swoje imię i nazwisko?

Nikły jakiś uśmiech skrzywił nieco jej usta, całowane teraz przez światło miesiąca.

— Zowią mnie Klarą — rzekła.

— Klarą — powtórzyłem szeptem.

— A pan, jak się zowie?

— Kasper... Kasper Trenoweth!

— Żegnam pana... żegnam, panie Kasprze Trenoweth... i raz jeszcze dziękuję.

Odeszła.

Patrzyłem smutnie na jej pełną wdzięku sylwetę, znikającą w cieniu. Zdawało mi się, że wraz z nią znika światłość i radość mego życia.

. . . .

— Kasprze — rzekł Tom, gdy wchodziłem nareszcie do naszej nędznej izdebki na poddaszu — czy wiesz, co to jest dźwigać na sobie odpowiedzialność za bezpieczeństwo czyjegoś majątku? Nie mówię o kilku marnych suwerenach, nie! Czy wiesz, co to jest żyć z trzema tysiącami czterystu sześćdziesięciu pięciu funtami sterlingami, trzynastu szylingami i sześciu pensami pod jednym dachem? Czy pojmujesz, jak odpowiedzialność za nie obarcza sumienie?

— Nie — odparłem — nie mogę powiedzieć, abym wiedział i pojmował, lecz skądże ci przyszła na myśl suma tak olbrzymia?

— Bo to ona właśnie, jak kamień młyński cały dzień dzisiejszy przygniatała mnie swym ogromem. Bo to ściśle i dokładnie obliczony kapitał, który nie pozwala mi w tej chwili patrzeć bez wzruszenia i wdzięczności w oblicze mego bliźniego.

Spojrzałem na niego spokojnie, lecz nie bez pewnego zdziwienia.

— Kasprze, musisz mieć niezmiernie słabą inteligencyę, albo szczęście pomieszało ci zmysły. Powiedz mi, mój drogi, czy szczęście w rzeczy samej nie pomieszało ci zmysłów?

— Przynajmniej nie domyślam się tego dotąd.

— Tem lepiej! — krzyknął Tom.

Zbliżył się do jednego z łóżek i ściągnął z niego kołdrę.

— Zrób mi przyjemność i porachuj to, co się tu znajduje: naprzód bilety bankowe, potem złoto, w końcu srebro. Jeśli zaś fatygować się nie chcesz i wierzysz w moje zdolności arytmetyczne, powiedz sobie, że w tej oto paczce leży w papierach trzy tysiące sto dwadzieścia funtów szterlingów, w tej kupce złota trzysta czterdzieści dwa funty, reszta zaś w srebrze wynosi trzy funty szterlingi, trzynaście szylingów i sześć pensów.

— Ależ, kochany Tomie, czy podobna, abyśmy tele wygrali?

— Wygraliśmy jednakże... i możemy do końca dni naszych żyć uczciwie, jako studenci medycznego fakultetu! Więc wobec tego, proponuję zjeść kolacyę i coś wypić na cześć klamry złotej... Pomyślałem i o napojach...

Znużony wypadkami ostatniej doby, siadłem do stołu, lecz prawie nic w usta wziąść nie mogłem. Zato wypoczęty język Tomasza pytlował nieustan-

nie. To usprawiedliwiał się, że wieczerza jest zbyt skromna; to przemawiał do jakichś nieobecnych, a przez własną wyobraźnię wytworzoanych gości, zwracając się przytem do mnie ciągle, jak do człowieka kolosalnie bogatego.

— Kasper — zawołał wreszcie — albo jesteś chory, albo cały dzień dzisiejszy jadłeś za dużo, że już jeść nie możesz!

— Ani jedno, ani drugie.

— Czy mam przypuszczać, że wstawszy od stołu, pobiegniesz na Oxford-Street szukać w ciemności swego wroga?

Zaprzeczyłem poruszeniem głowy.

— Co? Czy nie łakniesz krwi? Czyżbyś dziś nie myślał już o zemście?

— Tom — odpowiedziałem tonem uroczystym — nie chcę myśleć o niej ani dziś, ani nigdy więcej. Zemsta moja nie żyje!

— Wielkie nieba! Kiedyż to nastąpiło? Stało się chyba nagle i niespodzianie!

— Żądza zemsty zamarła dzisiaj w mojem łonie.

— Kasprze — rzekł Tom, kładąc mi rękę na ramieniu — niespodziana łaska Fortuny pomieszała ci zmysły, albo obdarzyła cię potężną głupotą!

ROZDZIAŁ IV.

W jaki sposób ujrzałem widmo Skały Umarłego, oraz kiedy udzieliłem i otrzymałem ważne dla mnie wiadomości.

Upłynął tydzień, w ciągu którego Tom i ja poczyniliśmy przeróżne odkrycia.

Przedewszystkiem, z wielką naszą radością przekonaliśmy się, że posiadane przez nas banknoty przyjmują wszystkie kantory wymiany bez wahania. Potem zauważyliśmy, że dotychczasowe nasze mieszkanie było dla nas za ciasne, więc najęliśmy inne, obszerniejsze, przy ulicy Saint-James. Następnie uznaliśmy za rzecz właściwą zastosować odzież naszą — jak to Tom odpowiednim stylem wyraził — do wykwintniejszych wymagań cywilizacyi zachodniej — oraz, że lepiej będzie postarać się o dyplomy lekarzy, aniżeli całe życie pozostawać studentami medycyny. Nakoniec, w genialnie rozjaśnionym umyśle Tomasza zrodziło się przekonanie, że tragedya „Francesca“ jest dziełem nieco napuszonem, gdy w moim rozwielmożniła się nadzieja, że po sześciu dniach pracy otrzymać można urlop na niedzielę.

Nie sądzę, abyśmy w *Materia Medica* znaleźli przedmiot, budzący w nas gorące zajęcie, ani żeby mistrzowie nasi poczytali nas obu za uczniów, przynoszących im zaszczyt, lecz Tom, który obecnie posiadał ładne i wygodne biurko do pisania, przerobił nie mal z gruntu „Franceskę“, ja zaś pochłonąłem ogromną ilość tytuniu, próbując odtworzyć w moim albumie rysy pewnej pięknej twarzyczki. Wreszcie, w końcu tygodnia, w usposobieniu, świadczącem o silnem rozgorączkowaniu, powziąłem mocne postanowienie wzięcia urlopu na niedzielę.

Nie ujrzałem jej jednak ani w pierwszą, ani w następną, chociaż zwiedziłem i zbadałem brzegi rzeki między Goring a Paugbourne, włócząc się po nich od wschodu słońca do późnej nocy. Lecz uważam za rzecz właściwą pominąć w mojem opowiadaniu wszystko to, co odnosi się do mego ówczesnego smutku i rozpaczy, a zatrzymać się nieco dłużej dopiero przy onej błogosławionej niedzieli, w ciągu której ujrzałem po raz drugi moją ukochaną.

Pamiętny ów dzień jaśniał całym blaskiem cudnej, słonecznej pogody.

Na jasnym błękicie nieba rysowała się tylko jedna popielata, wełnista chmurka, odbijająca się w zupełnie niemal gładkim krysztale wody. Przedemną płynęła rzeka spokojnie i cicho wpośród opromienionej ogromem światła samotności, nie zakłóconej kształtem choćby jednej postaci ludzkiej.

Lecz czem-że być może tam, daleko, na brzegu, mała plamka biała, odbijająca swym jaskrawym blaskiem od jasnego tła niebios i wody? — plamka, która porusza się i zbliżać się zdaje?

Serce zabiło mi w piersi gwałtownie.

W jednej chwili wyskoczyłem z łodzi i uwiązałem ją u drzewa, a potem wytężonym wzrokiem wpatrywałem się w całą długość drożyny, służącej zwykle rybakom za ścieżkę do holowania statków. Tak, to była ona!

Wpośród miliona istot poznałbym jej kształty przedziwnie harmonijne i wdzięczne. Zbliżała się, ale powoli.

Nieruchomy i milczący stałem z oczami w nią wlepionemi. Tak nieruchomy i milczący, że dzięcioł zielony, prawdopodobnie w pogoni za jakimś owadem, spadł na ziemię tuż przy moich nogach i dopiero, gdy mnie spostrzegł, rzucił się w tył i odleciał zaniepokojony widocznie; — tak nieruchomy i milczący, że jakaś roztargniona jaskółka w bystrym swoim locie otarła się o mnie, potem śmignęła nad rzeką i znikła w oddaleniu.

Ona szła ciągle powoli, trzymając pęk polnego kwiecia w ręku.

Pochyliła się nad krzakiem tarniny i zerwała zeń jeden — jedyny jeszcze — kwiatek. Jak w owym dniu, gdy ją ujrzałem po raz pierwszy, miała na sobie białą sukienkę, a kapelusz o szerokich skrzydłach zasłaniał jej piękną twarz zazdrośnie.



...Patrzyłem smutnie na jej pełną wdzięku sylwetę, znikającą w cieniu.

Zbliżała się... zbliżała i patrzyła przed siebie, nie zwracając na mnie uwagi. Minąwszy mnie dopiero, obejrzała się i z pewnem wahaniem, trwającem może minutę — w ciągu której uczułem bolesne ściśnienie serca — objęła mnie wzrokiem. Gdy oczy nasze spotkały się nareszcie, zrobiła gest, jakby sobie coś przypomniała, a na jej cudne lica wystąpił krasny, pełen uroku rumieniec.

— Więc spotykam pana jeszcze — rzekła wyciągając do mnie rączkę, a głos jej w mojem uchu zabrzmiał, jak najpiękniejsza muzyka.

— Jeszcze? — odparłem, wypuszczając z ujęcia jej paluszki, w taki sposób, w jaki skąpiec skarb cenny wypuszcza z chciwych szponów. — Jeszcze?! Ależ ja tu przychodziłem co niedziela.

— O, mój Boże, czyż to dawno? Wszystkiego niedziel trzy... Pamiętam dobrze, bo...

W sercu mojem zbudziła się znikoma nadzieja, że chodzi jej o jakieś wspomnienie, odnoszące się do mojej osoby, lecz złudzenie to rozwiało się rychło.

— Bo — ciągnęła dalej bezlitosnym tonem — mama była niezdrowa owego wieczora. Co prawda, chorowała ciągle potem... więc nie widzieliśmy się tylko trzy tygodnie.

— Tylko trzy tygodnie — szepnąłem jak echo.

— Tak — rzekła, przechylając główkę na bok. — Od dnia, w którym spotkaliśmy się w tych stronach, nie widziałam rzeki wcale. Czy się zmieniła?

— Zmieniona...

— Dlaczego?

— Może mnie taką się wydaje... bo i ja się zmieniłem...

— Spodziewam się, po takiej kąpieli! — wybuchnęła szczerym śmiechem. Dostrzegłszy jednak w moich oczach błyskawicę oburzenia, dodała szybko: — Och, skąpałeś się pan przez poświęcenie dla mnie! Chciej wierzyć, że jestem mu bardzo... bardzo wdzięczna.

— Czy wiosłowała dziś pani?

— Nie. Spojrzyj pan!... Zrywałam ostatnie kwiaty tarniny. Minął miesiąc maj... Już nie wróci, aż za rok!

— A „kwiatek majowy“?

— Proszę bardzo, nie przypominaj mi pan tej niemądrej piosenki. Gdybym wiedziała, że ktoś mnie słucha, nie śpiewałabym jej za nic w świecie!

— Ja zaś, za nic w świecie nie wyrzekłbym się rozkoszy wysłuchania jej, gdyby kiedykolwiek bądź śpiewaną była przez panią.

Zmarszczyła brwi i postąpiła krok naprzód, jakby odejść chciała.

— Jakto? Czy i pan także wygłasza podobnego rodzaju komplementa?

Tętniący w jej głosie i słowach wyrzut sprawił mi przykrość, lecz i ucieszył zarazem. Zmartwiłem się, bo wyrazy „i pan także“ obudziły w mózgu tysiączne myśli, pełne nieokreślonej zazdrości, uradowałem się, bo mogłem przypuszczać, że spodziewała się po mnie czegoś lepszego. Lecz czułem równocześnie, że zachowałem się jak niedołęga, bo zniszczyłem dobre o sobie mniemanie, ona zaś oddalić się teraz gotowa.

Ruszyłem i ja także krok naprzód, lecz w taki sposób, jakbym chciał ją zatrzymać.

— Muszę odejść — rzekła, a pragnąc widocznie pożegnać się jak najśpieszniej, wyciągnęła do mnie rączkę, którą uchwyciłem silnie w obie dłonie.

— Nie, nie! Czyżbym obraził panią?

Milczała.

— Chciej powiedzieć, czy rzeczywiście obraziłem? — zawołałem niezadowolony z siebie i chmurny.

— Przebaczam panu... Jednakże odejść muszę.

Usiłowała drobną rączynę wysunąć z moich palców.

— Dlaczego? — zapytałem.

Głos mój mimowoli zabrzmiał tonem ostrym i chrypliwym. Trzymałem ją ciągle jeszcze za rękę. Czułem, że drży, a drżenie to drażniło mnie i wprawiało w bolesny niepokój.

— Dlaczego? — powtórzyłem jeszcze bardziej ochrypłym głosem.

— Bo... bo nie chcę znowu pozostawić mamy samej. Czeka na mnie.

— W takim razie, pozwól pani, żebym cię odprowadził.

— Och, nie!... Innym razem... tak, tak! innym razem. Wtedy przedstawię pana mojej matce...

— Dlaczegóżby nie dziś?

— Bo jest cierpiąca.

Ostatnie, odbyte przezemnie wycieczki w dziedzinę *Materia Medica* nie upoważniły mnie wcale do ofiarowania usług, wymaganych od doktora przy osobie chorej, ofiarowałem je jednakże.

Ona uśmiechnęła się i spytała:

— Jakto? Więc pan jesteś lekarzem?

— Och! — odparłem w lekkomyślnem rozdrażnieniu — kotlarzem, krawcem, żołnierzem, majtkiem, gentelmanem, aptekarzem... czem pani chce. Nie, nie! może jednak ciekawą mieszaniną dwu ostatnich, to jest... studentem medycyny.

— W takim razie, nie mam do pana zaufania — rzekła, uśmiechając się rozkosznie.

— Zaufaj mi pani! — zawołałem.

Dźwięk mego głosu sprawił, że zapłoniona znowu, wbiła oczy w ziemię.

— Pani musi mi ufać — nalegałem, a szczególniej dźwięk, który wywołał rumieniec na jej twarzy, zabrzmiał w moim głosie silniej jeszcze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ostatnie zwycięstwa Mandżurów.

Dni dynastyi mandżurskiej w Chinach są już policzone. Trzyma się ona jeszcze w Pekinie i nominalnie rządzi w dwóch północnych prowincyach, podczas gdy na całym obszarze państwa rozciąga się władza rządu republikańskiego. Jeśli się weźmie pod uwagę olbrzymią rozległość państwa chińskiego, należy istotnie podziwiać tę niesłychaną szybkość, z jaką chiński ruch rewolucyjny zatoczył tak szerokie kręgi. Przyczynił się do tego z jednej strony przygotowany grunt wśród szerokich mas narodu chińskiego, a z drugiej prawie zupełna bezsilność rządu cesarskiego, który nie posiada ani armii, ani pieniędzy na prowadzenie walki z rewolucyą. To też po stoczeniu zaciętych walk z wojskami cesarskiemi w okolicach miasta Hankau, które było ogniskiem rewolucyi chińskiej, republikanie mieli już otwartą drogę do dalszych zdobyczy. I tam niewątpliwie, w walkach pod Hankau został przypieczętowany los dynastyi mandżurskiej. Walki te, w których starły się ostatecznie dwa wrogie obozy: Mandżurowie i nowe Chiny, były też niezmiernie krwawe. Długotrwałe bitwy, przechylające szalę zwycięstwa to na jedną, to na drugą stronę, skończyły się ostateczną klęską Mandżurów, ale po obu stronach pociągnęły olbrzymie ofiary... Miasto Hankau, w którem narodził się świt chińskiej wolności, zamienione zostało w kupę gruzów, a pola jego zaścieliły trupy.



Boże Narodzenie na placu boju: Wyładowywanie w porcie trypolitańskim podarunków świątecznych dla żołnierzy włoskich.



Boże Narodzenie na placu boju: Karawana, wioząca podarki świąteczne dla żołnierzy włoskich z portu trypolitańskiego do oazy Ain Zara.

Na illustracyach naszych widzimy właśnie rezultaty tych decydujących walk pod Hankau: ulicę miasta po zbombardowaniu przez wojska cesarskie i leżące na polu walki trupy rewolucyonistów... Były to ostatnie „zwycięstwa“ Mandżurów — przed ich ostateczną zagładą.

Boże Narodzenie na placu boju.

Wojna włosko turecka dziesiątki tysięcy Włochów oderwała od rodzin i rzuciła na pustynne wybrzeża Afryki. Wśród dymu salw i grzechotu karabinów witali oni uroczyste święta Bożego Narodzenia. Jak wiadomo, Włosi są bardzo przywiązani do tradycyjnych obchodów religijnych. Mimo dosyć wolnomyślnych przekonań politycznych, jakim większość narodu hołduje, zachowują oni bardzo skrupulatnie wszelkie tradycye i związane z nimi uroczystości.

To też pierwsza wilia, jaką tysiącom żołnierzy przyszło spędzić zdala od ukochanych, w obliczu śmierci, która czyha na nich na każdym kroku, przepełniała ich serca wspomnieniami i żalem. Niejedno męskie oblicze, spokojne na widok lecących kul, w wieczór ten powlokło się smutkiem, a w ukryciu niejedna łza spadła na świeżo usypany szaniec.

Lecz ojczyzna nie zapomniała o swych synach, wysłanych do Trypolisu na śmierć lub kalectwo.

W całych Włoszech zbierano składki i podarki świąteczne dla walczących. Nie tylko rodziny żołnierzy, znajdujących się na placu boju, ale także wiele obcych osób pospieszyło z chętnymi ofiarami aby dać walczącym dowód, że tam... w ojczyźnie myślą o nich i pamiętają.

Specyalnym transportem okrętowym przewieziono podarki i przesyłki do Trypolisu. Ponieważ jednak wtedy główne siły włoskie skupione były koło oazy Ain Zara, zarząd wojskowy zorganizował osobną karawanę, która przewiozła ten świąteczny transport z portu trypolitańskiego do Ain Zara..

Wyobrazić sobie można radość, z jaką żołnierze powitali tę karawanę. Przynosiła im ona przecież drogocenne dary, listy i dowody pamięci z kraju rodzinnego.

Przy długich stołach, pełnych nadesłanych podarków, stanęły kompanie i pułki. Nie pod bronią i nie do walki, choćby raz jeden! Oficerowie, sami wzruszeni, rozdawali żołnierzom w dzień wigilijny nadeszłe przesyłki.

W dzień zaś Bożego Narodzenia w Ain Zara na rozległem polu ustawiono zwykły stół, który przykryto białem płótnem. Dwie świece i krzyżyk niewielki stanowiły całą ozdobę tego polowego ołtarza, przy którym ksiądz po kolei czytał trzy Msze świąteczne. Żołnierze olbrzymiem kołem stanęli opodal, zaś dzwonek ministranta dzierżył najstarszy rangą podoficer. Po Mszach wszyscy wrócili na swe stanowiska i znowu popłynęły dni w krwawej walce i wojennym znoju.

Illustracye nasze przedstawiają chwilę wyładowania podarunków w Trypolisie, następnie karawanę,



Ostatnie zwycięstwa Mandżurów: Ulica w Hankau po zbombardowaniu miasta przez wojska cesarskie.

transportującą je do Ain Zara, rozdawanie podarków w kompaniach i wreszcie Mszę polową w dzień Bożego Narodzenia.



Boże Narodzenie na placu boju: Msza polowa w oazie Ain-Zara pod Trypolisem.

Po ucieczce kapitana Luxa.

Jak już w poprzednim numerze donieśliśmy, z fortecy pruskiej w Kładzku, (Glatz) umknął skazany na kilkuletnie więzienie za szpiegostwo kapitan francuski Lux.

Sama sprawa nie jest wcale dziwną, ani niezwykłą gdyż wiadomą to rzeczą, że mocarstwa posługują się i posługiwać się będą aparatem szpiegowskim doprowadzonym do możliwej doskonałości, w całym jednak świecie, sprawiła ona ogromną radość, że stało się to właśnie w Prusach, które nie cieszą się wcale sympatyą nigdzie w Europie.

Gdy przed niejakim czasem opuścił Siczyński niego ścinne mury więzienia stanisławowskiego, prasa niemiecka nie omieszkała skorzystać ze sposobności i skrytykowała dosadnie nieporządki, panujące w Austryi, nie przypuszczając nawet, że na samą gwiazdkę kapitan Lux sprawi Germanii jeszcze większą niespodziankę. Nie trzeba zapominać, że Lux osadzony był we fortecy, gdzie dozór jest, a przynajmniej powinien być ściślejszym niż w zwykłym domu kary, ponadto, że się ma do czynienia z osławioną pruską dyscypliną, lubiącą się zawsze i wszędzie przedstawić w tak jaskrawych barwach.

To też w Prusiech panuje łatwo zrozumiałe przygnębienie, Europa natomiast śmieje się serdecznie, a prym w tem wiedzie Anglia, która nie zapomina nigdy o swym serdecznym przyjacielu, jeśli tylko można przypiąć mu gdzieś łatkę. Nie tylko pisma polityczne, ale i obrazkowe zajmują się tem zdarzeniem i nie szczędzą pod adresem Prus gryzącej ironii, jedno zaś z nich przynosi zamieszczoną w dzisiejszym numerze „Nowości Illustrowanych" rycinę, przedstawiającą dozorcę więziennego wraz ze strażą, wchodzącego do klatki, z której niestety ptaszek już wyfrunął. Przepiłowane i powyginane kraty wskazują drogę, którędy uszedł, na stole pozostawił list z życzeniami „Wesołych świąt" dla komendanta więzienia i współtowarzyszów niedoli.

Katastrofa kolejowa pod Paryżem.

W ubiegłym tygodniu na linii kolejowej prowadzącej z Paryża do Bondy wydarzyła się straszna katastrofa kolejowa, w której sześć osób znalazło śmierć na miejscu. O godzinie siódmej wieczorem wyjechał z wschodniego dworca Paryża pociąg osobowy w kierunku stacyi podmiejskiej Point des Cognetiers. W pięć minut potem został wysłany w tym samym kierunku drugi pociąg osobowy, który stanowił drugą część poprzedniego wysłanego pociągu. Przy wjeździe do stacyi Point des Cognetiers pierwszy pociąg został wstrzymany sygnałem, aby ze stacyi wypuścić dążący w przeciwnym kierunku pociąg towarowy.

Tymczasem drugi pociąg osobowy, który szedł na pierwszym, nie wiedząc o tem, iż tamten został na przestrzeni zatrzymany, nadjechał w pełnym biegu i uderzył w ostatnie wozy stojącego pociągu. Wśród przerażającego huku trzy ostatnie wagony stojącego pociągu osobowego zostały strzaskane, a kilkanaście osób znalazło się pod gruzami. Po



Boże Narodzenie na placu boju: Rozdawanie podarunków świątecznych żołnierzom włoskim w Trypolisie.



Ostatnie zwycięstwa Mandżurów: Zwłoki rewolucyonistów chińskich, poległych w bitwie pod Hankau.



Niepodległa Mongolia: Młody mieszkaniec Mongolii.

chwili rzucono się na ratunek i z pod dymiących gruzów wydobyto sześć trupów strasznie zniekształconych. Byli to trzej mężczyźni dwie kobiety i mała dziewczynka. Oprócz nich wydobyto dwadzieścia osób ciężej lub lżej rannych. Pierwszych opatrunków dokonano w budynku stacyjnym, następnie zaś przewieziono rannych do szpitala. W pół godziny po katastrofie nadszedł na miejsce pierwszy pociąg ratunkowy, w nocy zaś przyjechał szef paryskiej policyi, który przeprowadził dochodzenie, kto ponosi winę wypadku. Na drugi dzień rano aresztowano prowadzącego lokomotywę drugiego pociągu.

Illustracya przedstawia szczątki rozbitych wagonów i roboty podjęte celem oczyszczenia toru.

Dwie ostateczności.

Wybory bywają nieraz bardziej hazardowne, niż gra w Monte Carlo. Każdy kandydat stawia na kartę wszystko, swe pieniądze, wymowę, często i honor, a wygrywa nieraz istotnie dzięki przypadkowi. Zwykle wybory nie są pozbawione i różnych humorystycznych epizodów. Do takich należy konkurs, jaki przy ostatnich wyborach do parlamentu niemieckiego ogłosiła redakcya pisma „Neue Welt" w Berlinie. Wyznaczyła ona mianowicie dwie premie dla największego i najmniejszego wyborcy, który weźmie udział w głosowaniu.

Wynik konkursu był dość ciekawy. Pierwszą nagrodę otrzymał wyborca mający 2 m. 10 cm. wysokości i liczący 45 lat, zaś drugą premię zdobył wyborca, który mierzył zaledwie 1 m. 20 cm. i liczył aż 56 lat.

Illustracya nasza przedstawia właśnie chwilę, kiedy w redakcyi pisma odbywa się ostateczne mierzenie obu wyborców i wręczenie im nagród.



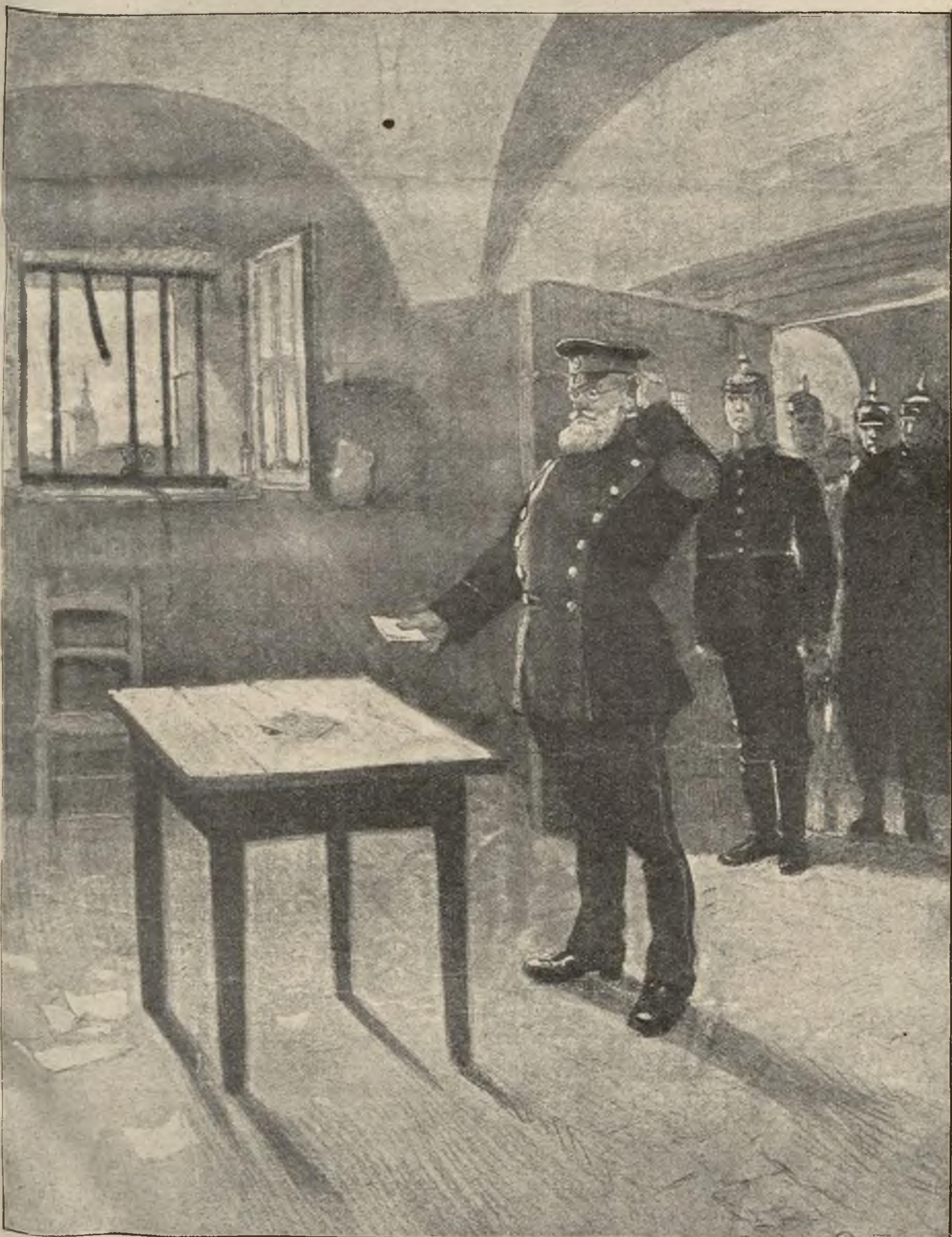
Katastrofa kolejowa pod Paryżem: Rozbite wagony na stacyi Point des Cognetiers pod Paryżem.

Niepodległa Mongolia.

Znów odwróciła się karta historyi. Tak potężna niegdyś i groźna Mongolia, która jednak rychło upadła i utonęła w morzu chińskiem, dziś, korzystając z zamieszek w państwie Niebieskiem proklamowała swą niepodległość. Dziwne też były koleje tego budzącego się znów do życia państwa azyatyckiego. W wieku XIII Mongolia panowała nad całą Azyą i zapuszczała swe zagony do Europy, a nazwisko Dżingischana krwawo zapisało się w dziejach świata. W r. 1228 doszła do szczytu potęga Mongołów, którzy zdobyli cesarstwo chińskie i panowali w niem przeszło 100 lat. Ale już w r. 1368 wygnano Mongołów z państwa Niebieskiego. Przez czas jakiś Mongolia tworzyła w środkowej i zachodniej Azyi niezależne państwo, w którem panowała dynastya Timura, ale ta groźna potęga, zakładająca nowe mocarstwa i niszcząca dawne, powoli, lecz nieustannie chyliła się do upadku, aż wreszcie wcielona została do państwa Niebieskiego jako jedna z pośledniejszych jego prowincyi, choć rządzona autonomicznie... Ale dziś, spokojna i uległa Mongolia, korzystając z niemocy państwa Niebieskiego, przechodzącego kryzys rewolucyjny, postanowiła zrzucić jarzmo chińskie. Nie było to zadaniem zbyt trudnem. Uzyskano niepodległość w bardzo prosty sposób: wygnano z Mongolii urzędników chińskich, a władzę najwyższą w kraju objął najwyższy dygnitarz duchowny mongolski, „ziemski przedstawiciel Buddy" — „chutuchta", który zazwyczaj był mianowany przez dalaj lamę tybetańskiego w porozumieniu z rządem pekińskim.



Niepodległa Mongolia: Kapłan mongolski.



Po ucieczce kapitana Luxa: Dozorca więzienny wraz ze strażą w celi, w której internowany był kapitan.

Uroczystość wstąpienia „chutuchty" na tron mongolski odbyła się w Urdze z wielką paradą. Przy ogromnym na pływie duchowieństwa mongolskiego i ludności oddano hołd nowemu władcy. Na tronie zasiadł nowy „cesarz" mongolski, a przed nim ustawiono deseczkę z wyrytym napisem: „Stolica dziesięciotysiącletniego cesarza narodu mongolskiego Czibczundamba chutuchty ósmego".

Urzędnicy, i duchowni mongolscy, a także niektórzy Chińczycy, składali przed deseczką dziewięć pokłonów. Wreszcie mongolski oddział wojskowy dał 12 wystrzałów, które zakończyły uroczystość proklamowania niepodległej Mongolii.

Należy jeszcze zaznaczyć, że to nowe państwo, leżące pomiędzy Syberyą, Mandżuryą, właściwemi Chinami, Tybetem i Turkiestanem, obejmuje obszar około 2 831.000 kwadratowych kilometrów, ti. tyle co Austrya, Niemcy, Szwajcarya Włochy, Francya, Szwecya i Norwegia razem wzięte. Czy utrzyma się jednak długo, jest rzeczą bardzo wątpliwą. W mniejszym jeszcze stopniu, niż Chiny, posiada w obecnym swym stanie warunki do zachowania swej niezależności wobec sąsiadów. W każdym jednak razie Mongołowie znów przypomnieli się światu, choć na szczęście nie tak groźnie, jak ongi, kiedy to hordy ich, niosące wszędzie śmierć i pożogę, zapuszczały się do Polski i zagrażały nawet zachodniej Europie...

Z okazyi tej podajemy też w dzisiejszym numerze szereg illustracyi, przedstawiających widoki i typy z tego zapomnianego, a dziś odzyskującego na nowo niepodległość kraju Wielkiego Mongoła.



Niepodległa Mongolia: Ceremonie religijne w wiosce koczujących Mongołów.



Niepodległa Mongolia: Mongoł z sokołem do polowania.

Zgon zacnej obywatelki.

W ubiegłym tygodniu zmarła we Lwowie po krótkiej słabości wdowa po ś. p. drze Godzimierze Małachowskim, byłym prezydencie miasta Lwowa i pośle do sejmu i Rady państwa, ś. p. Marcella z Tarnawieckich.

Zmarła znaną była w najszerszych kołach lwowskiego towarzystwa jako kobieta rzadkiej zacności serca i słodyczy charakteru. Brała ona do ostatnich chwil życia bardzo czynny udział w wielu towarzystwach dobroczynnych i humanitarnych, wspomagała hojnie ubogich i spieszyła chętnie z pomocą, gdziekolwiek trzeba było otrzeć łzy nieszczęśliwym. Zwłaszcza w okresie prezydentury ś. p. Godzimira Małachowskiego miała szerokie pole do roztoczenia swej dobroczynnej działalności. Korzystała też skwapliwie z tego, nie szukając rozgłosu i pochwał. „Niech nie wie lewica, co daje prawica", to była Jej zasada, każdy nieszczęśliwy mógł być pewnym, że zacna matrona nie opuści go w potrzebie, ale wesprze radą lub czynem.

Dzieje lwowskich towarzystw dobroczynnych związane są też ściśle z nazwiskiem ś. p. Marceli, zapisało się ono chlubnie na ich kartach i przekazanem zostało odwiecznej pamięci potomności. Był to typ prawdziwej polskiej matrony, jakich niestety coraz mniej się spotyka.



Niepodległa Mongolia: Koczująca rodzina Mongołów na stepie.

Od czasu śmierci męża usunęła się zmarła w zacisze domowego życia, nie zapominając jednak i teraz o biednych i potrzebujących. W pięćdziesiątym drugim roku swego zacnego żywota uległa silnemu zapaleniu płuc, jakiego nabawiła się przed kilku dniami. Osierociła dwie córki i dwu synów i tysiące biedaków, którzy stracili w niej prawdziwą swą dobrodziejkę i opiekunkę.

Cześć Jej pamięci!



Dwie ostateczności: Największy i najmniejszy wyborca w Berlinie.



Niepodległa Mongolia: Myśliwy, strzelający ze starodawnego muszkietu z podpórką.

GASTON LEROUX.

BALAOO

13)

Ale p. de Meyrentin upierał się przy tem i wspomniał o kimś, kto nosił dziwne imię Bilbao...

Patryk, przesłuchiwany jako świadek, nieśmiało powtórzył to imię, nie opierał się jednak, gdy prokurator oznajmił, że musiał się przesłyszeć, lub że poprostu przyśniło mu się to imię.

Wezwano Zoe, która zeznała, jak i bracia, że pierwszy raz słyszy to imię.

Pomimo zeznania mera, który twierdził, że w czasie dokonywania zbrodni dziewczyna pracowała u niego, pociągnięto ją do odpowiedzialności. Nie uwięziono jej jednak ze względu na starą matkę.

Trzej bracia, bez dalszych wypadków, zostali skazani na śmierć!

Wyrok jednak jeszcze nie był wykonany!

Pan de Meyrentin pozostał przy swem przekonaniu, że wspólnik, imieniem Bilbao, istnieje. Żeby go wykryć, sędzia śledczy zamieszkał w szałasie dozorcy leśnego, znajdującym się na pochyłości drogi, ciągnącej się z tyłu posiadłości Coriolisa.

Zasiadł tam, obserwując dom starego dziwaka i czekając na powrót Noela.

Pan de Meyrentin nie sprzeciwiał się zbyt otwarcie prokuratorowi przy rozpatrywaniu sprawy wspólnika, gdyż wówczas, podczas sądu, nie miał żadnych realnych danych do oskarżenia.

Teraz te dane posiadł! Zawdzięczał to swej cierpliwości. Spędzając noce w szałasie, z wzrokiem utkwionym to w chałupę Vautrinów, to znowu w domostwo Coriolisa, p. de Meyrentin powtarzał zdanie: „To nie złotogłów, to ryba!“ To zdanie wyjaśniło mu wiele rzeczy. Znaczyło w miejscowym żargonie: „to nie złoto, ale miedź“!

A przecież panu de Meyrentin wówczas podczas owej dziwnej przygody na dachu, skradziono zegarek — z fałszywego złota.

O tym zegarku właśnie mówiono w chacie Vautrinów. Zegarek ów Zoe miała ukryty w skarpetce i dlatego uciekała przed Patrykiem. P. de Meyrentin rozumiał teraz wszystko doskonale. Zegarek ten dziewczyna mogła dostać od sprawcy zamieszania na dachu i na strychu, czyli „od człowieka, który chodził głową w dół“, od tajemniczego wspólnika trzech braci. Zoe więc była w przyjaźni z wspólnikiem, skoro cerowała jego skarpetki. A więc trzeba śledzić tę dziewczynę! Pan de Meyrentin śledził ją!

I oto, co wyśledził...

Od pewnego czasu sędzia przyszedł do przekonania, że dziwny wspólnik, było to ni mniej, ni więcej, jakieś zwierzę, wytresowane przez trzech braci, którzy, przechowując je w lesie, posługiwali się niem w swych dziwnych i strasznych wyprawach. Przypuszczenie to zdawało się odpowiadać temu, co odkrywano od czasu do czasu w tajemniczych Czarnych Lasach. Zresztą w okolicy stale krążyły legendy o dziwnych zwierzętach, porywających dzieci, napadających na mieszkańców wsi i podróżnych. Gdy w Saint Martin des Bois ktoś powywieszał wszystkie psy, mieszkańcy zgodnie oświadczyli, że uczyniło to „zwierzę z Pierrefeu“, by uniknąć prześladowania psów podczas nocnych wycieczek do miasta. P. de Meyrentin, przeciwnie, był pewien, że uczynili to trzej bracia, chcąc uwolnić swe zwierzę od szczekania psów.

Co to było za zwierzę? Pan de Meyrentin po krótkiem wahaniu odpowiedział sam sobie: była to małpa! Małpa tylko mogła z dachu prześliznąć się przez wpółotwarte drzwi ponad głowami stojących na progu ludzi. Tylko małpa była w stanie utrzymać się na pręcie, podtrzymującym lampy i wisząc głową w dół, dusić swe nieszczęśliwe ofiary, oniemiałe z przerażenia na taki widok.

A więc człowiek, który chodził z głową w dół, był małpą. Ale Patryk powiedział sędziemu, że człowiek ten mówi! A to obalało całą hypotezę...

P. de Meyrentin uważał swe wywody za doskonałe, ale były one tak niezwykłe, że nie ośmielił się ich odkryć nikomu. I sam starał się oderwać od nich, szukając akrobaty, który zastąpiłby w jego myślach małpę. Tymczasem zaś z chytrością apasza śledził Zoe.

Ale dziewczyna bywała tylko w domu Coriolisa, a potem wracała do siebie. Od czasu do czasu widywano ją z Noelem, służącym Coriolisa, wielkim chłopcem, bardzo spokojnym, który, posyłany przez swego pana do miasta, z nikim nigdy nie rozmawiał, na ulicy zaś kłaniał się każdemu bardzo grzecznie.

Czasem widywano go, jak wchodził do chałupy Vautrinów, zapewne w celu odwiedzenia starej.

Aż oto pewnego dnia na brzegu lasu, z którego zdawał się wychodzić, Noel spotkał się z Zoe, która wracała z domu Coriolisa; i p. de Meyrentin, który siedział w swym szałasie, wyraźnie usłyszał, jak Zoe mówiła: „Magdalena czeka na ciebie, mój mały Balaoo!“

— Balaoo! Bilbao!

Błyskawica poznania rozdarła mroki, panujące w mózgu pana de Meyrentin.

W jednej chwili przypomniał sobie, że Noel był przywieziony z Dalekiego Wschodu. Któż mógł być bardziej zręczny lub lekki, jak Chińczyk lub Japończyk?!

Pewnego dnia p. de Meyrentin był tak szczęśliwy, iż mógł odrysować ślady trzewików Noela. Odpowiadały one w zupełności śladom podeszew, jakie odkrył na sadzy obok komina, na dachu domu Lombarda.

Teraz nie wątpił już, że ten Noel, zawsze tak smutny i przygnębiony, tak sprytnie oszukujący wszystkich, był sprawcą strasznych zbrodni.

I nikt się tego nie domyślał! Coriolis nie wiedział, jakiego ma służącego! A Patryk nie odgadywał, jaką doń nienawiścią pałał ów chłopiec, którego tak często widywał! A więc p. de Meyrentin uwolni ich od niego! Uwolni miasto od strasznego zbrodniarza! Zadziwi prokuratora, zadziwi wszystkich, a sam okryje się chwałą w chwili, gdy każe aresztować tajemniczego wspólnika trzech braci!...

Nic nikomu nie mówiąc, pojechał na dwa dni do Belle Etable, skąd wrócił z dwoma żandarmami, którzy mieli czekać na jego rozkazy na brzegu lasu, przy drodze, wiodącej z Riom.

Sam zaś po raz ostatni zamknął się w szałasie, chcąc się upewnić, że Noel jest w domu Coriolisa.

Ale wieczór zapadł, a Noel nie dał znaku życia. Może nie wrócił jeszcze z lasu.

P. de Meyrentin wyszedł z szałasu i śmiało zadzwonił do małej bramy domostwa Coriolisa.

Sam gospodarz otworzył mu.

— Chciałbym się widzieć z panem Balaoo! — rzekł p. de Meyrentin, uchylając kapelusza.

— Proszę wejść, panie sędzio — odparł Coriolis, zaczerwieniony.

I zamknął bramę.

KSIĘGA II.

Balaoo bawi się.

ROZDZIAŁ I.

Cierpliwość Balaoo ma granice.

Kiedy Balaoo pokazał się na brzegu lasu, jesienne słońce, chowające się za małem miastem Saint-Martin, posłało mu swe ostatnie promienie.

Balaoo, oślepiony blaskiem, cofnął się szybko w głąb lasu, czekając, aż noc zapadnie, za nic w świecie bowiem nie chciał się ludziom pokazać w starganej na strzępy marynarce i podartych spodniach. Nie mówiąc już o tem, że nie miał kapelusza. Opłakany ten wygląd i napad na omnibus, zmusiły go do unikania wielkich dróg i przechodniów. Teraz zasiadł spokojnie w gęstwinie i oparłszy się o pień dębu, począł wkładać trzewiki, które zwykle zdejmował, kiedy był w lesie i wiedział, że nie spotka człowieka.

Nauczono go, by starał się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi wyglądem, ani ruchami.

Od chwili, kiedy mu wytłómaczono, że jest małpoludem *), przesadzał w miękkości i ostrożności ruchów, gdyż za nic w świecie nie chciał być uważany za małpę.

Wkładając trzewiki, Balaoo westchnął, co spowodowało odgłos, podobny do dalekiego grzmotu, co tak często zdarzało się słyszeć mieszkańcom Saint-Martin des Bois podczas najpiękniejszej pogody. Pomyślał sobie zaraz, że dostanie za to burę po powrocie do domu. Coriolis nie lubił takich żartów i uprzedzał go, że to się źle skończy i że on za nic nie odpowiada. Powinien był pamiętać o tem. Ale w tej chwili Balaoo myślał przedewszystkiem o napadzie na więzienie w Riom.

Przy ostatnich blaskach słońca dojrzał przechodzących drogą dwóch żandarmów. Krótkie włosy na głowie zjeżyły mu się i poczęły ruszać, co oznaczało przestrach lub gniew. Uważał, że żandarmi szli zbyt powolnie, a jemu bardzo się spieszyło. Pragnął być już w domu. Co powie stary Coriolis i Magdalena?

*) Małpolud — najbardziej rozwinięty gatunek małp, bardzo zbliżony do człowieka.

Czekały go wymówki i kara! Napewno szukali go w lesie naprożno! W każdym razie przed powrotem do domu musi uprzedzić Zoe o swym napadzie na więzienie w Riom.

Droga była wolna. Przesadził ją jednym skokiem i puścił się pędem przez pola w stronę chałupy Vautrinów. Stała ona w połowie drogi między lasem i wsią, w gołem polu, otoczona topolami. Z komina unosił się dym, w oknach nie było światła. Balaoo pchnął drzwi. Jakaś zgarbiona postać zapytała:

— Kto tam?

— To ja, Noel — odparł Balaoo głuchym gardłowym głosem.

Zgarbiona postać wyprostowała się i wyszła na środek izby. Była to Zoe. Stara poczęła się ruszać w alkowie na swem posłaniu. Obie zaczęły go wypytywać. Zoe chwyciła zapałki, ale Balaoo odebrał je i oznajmił, że widział żandarmów i że nie chce, by go ujrzano w chałupie. Stara poczęła jęczeć i narzekać, była bardzo chora, ale jedno zdanie Balaoo przywróciło jej zdrowie.

— Przyjadę wózkiem w nocy o jedenastej — rzekł — bądźcie gotowe.

Zoe rzuciła się na kolana i objęła jego nogi.

— Uratowałeś ich, Noel? Widziałeś ich? Wrócą wszyscy trzej?

I wymieniła braci po imieniu, chcąc się upewnić, że żadnego nie brak.

— Szymon, Eliasz i Hubert?

Balaoo mruknął: Szymon, Eliasz i Hubert.

— Ty to zrobiłeś, Noel?

Balaoo odtrącił ją nogą. Ta mała drażniła go, zawsze dawniej skarżyła się, że bracia ją biją, a teraz, kiedy się dowiedziała, że są wolni, oszalała z radości.

— Gadaj prędko, co tam mówią w domu? Muszę zaraz wracać!

Mała rozpłakała się.

— Panna Magdalena szukała ciebie przez cały dzień. Chodziła po lesie, wołała, krzyczała...

— O! — jęknął Balaoo, uderzając się z całej siły pięścią w pierś, która wydała dźwięk gongu — i nie żegnając się, wypadł z chałupy.

Na dworze wciągnął powietrze. Nie poczuł nic podejrzanego. Pobiegł więc na przełaj w kierunku domu Coriolisa. W kilka chwil był przy małej bramie, wychodzącej na las. Drżąc, pociągnął za rączkę od dzwonkaa, który zabrzęczał tak gwałtownie, że Balaoo o mało nie zemdlał z przerażenia. Za murem zaszeleściły kroki po suchych liściach.

Balaoo ukląkł na kamiennym progu bramy. Drzwi otworzyły się i Balaoo natychmiast poczuł, że go ciągną za ucho.

— Hultaju! — zawołał rozgniewany głos kobiecy — zapłacisz mi za to! Dwa dni i dwie noce poza domem! Jak ty wyglądasz? A! tego już za dużo! Płakałam przez ciebie! Słyszysz Balaoo? Płakałam, ja płakałam! Ach, na miłość Boską, nie płacz, cała wieś się zleci!... Jak ty wyglądasz? Całe ubranie w strzępach, nowiutkie ubranie. Znowu biegałeś po drzewach? Ojciec rozchorował się przez ciebie.

Uległy, posłuszny, zrozpaczony Balaoo pozwolił się ciągnąć za ucho i szedł pokornie za Magdaleną. Przez ogród warzywny przeszli do oranżeryi, w której Coriolis robił swe tajemnicze doświadczenia z rośliną chlebową. Magdalena pchnęła drzwi do pokoju Balaoo i znaleźli się wobec Coriolisa. Balaoo zrobił ruch, jak gdyby chciał jednym susem wypaść z pokoju i ratować się ucieczką do lasu.

Twarz Coriolisa była zimna i twarda, jak marmur. Balaoo znał dobrze ten wyraz twarzy swego pana. Nic nie przejmowało go większym strachem.

Wolał uderzenia prętem lub dyscypliną, jakich nie szczędzono mu podczas wychowania, niż milczący wyrzut tych oczu nieruchomych i pogardliwy wyraz twarzy człowieka, który mylnie przypuszczał, że można zrobić coś z prostego małpoluda. I te wargi Coriolisa, które tak rzadko się poruszają! Te wargi, które mogą teraz rzucić pytanie, jak się miewa stary dzik, jego przyjaciel, co porabiają wilki w swych legowiskach w Madon? Pytanie to może być rzucone wobec Magdaleny. Co za wstyd! Co za hańba dla niego, dla Balaoo, który tak często odwiedzał braci Vautrin przed uwięzieniem ich i który był przez nich traktowany, jak równy, jak towarzysz! I w dodatku nie mógł się do tego przyznać, nie mógł się tem pochwalić, gdyż Coriolis oznajmił mu już kiedyś, że wolałby go widzieć w towarzystwie szakali i hyen, niż w przyjaźni z Vautrinami.

Coriolis poruszył wargami:

— Odwróć się!

Balaoo nie posłuchał.

— Obróć się! — powtórzył Coriolis.

Ale Balaoo udał, że nie słyszy. Wiedział, że z marynarki pozostały strzępy, że spodnie z tyłu

wiszą w kawałach. Za nic w świecie nie chciał okazywać takiego widoku oczom Magdaleny.

Coriolis zrobił krok w jego stronę. Balaoo począł się trząść całem ciałem. Magdalena, rozumiejąc jego wstyd, pragnąc mu dopomódz i oszczędzić mu hańby, wtrąciła się do rozprawy. Miała łzy w oczach. Ach! ona była dobra. Kochał ją, jak on ją kochał!...

Ale Coriolis powtórzył rozkaz:

— Chcę, żeby się obrócił!

Wówczas Magdalena rzekła swym słodkim głosem:

— Odwróć się, mój mały Balaoo!

Ach! „Mój mały Balaoo!" Mogła z nim robić wszystko, nazywając go tem imieniem! Skoczyłby w ogień, jeśliby mu rozkazała, przemawiając w taki sposób.

Balaoo podniósł się na palcach i odwrócił się.

W tej chwili w pokoju rozległ się śmiech, nieznany mu. Odwrócił się gwałtownie i ujrzał człowieka, którego poznał natychmiast, gdyż spotykał go często na ulicy. Był to przyjaciel wysokiego, czarnego człowieka, który utykał, którego Balaoo nienawidził i którego policzkował przy każdej sposobności. Był to także przyjaciel żandarmów, którzy uwięzili trzech braci. Co on tu robił? Czy przyszedł, by go zabrać do więzienia? Po raz pierwszy widział obcego człowieka w swem mieszkaniu. Po raz pierwszy spotkał go taki wstyd wobec obcego! Człowiek ten śmiał się, patrząc na opłakany stan spodni Balaoo. Ale ruch tego ostatniego był tak gwałtowny, że tamten przestał się śmiać i schował się za stół.

— Niech się pan nie boi — rzekł Coriolis — on jest łagodny, jak dziecko, muchy nie skrzywdzi!

— Tak, muchy — pomyślał Balaoo — muchy! Idź, zapytaj krawca Camusa, który ciągle śmiał się ze mnie, idź, spytaj go, czy ja muchy nie skrzywdzę!

Coriolis rozkazał:

— Chodź tu, Noel!

A gdy Balaoo podszedł, drżąc, Coriolis pieszczotliwie poklepał go po policzku. Balaoo uspokoił się odrazu, wyjął chustkę do nosa i otarł nią twarz. Był już ostatni czas po temu. Ten obcy mógł pomyśleć, że jest źle wychowany.

Nieznajomy rzekł:

— To niesłychane! Widziałem małpy w cyrkach, ale nigdy, nigdy...

Balaoo podniósł pięści do twarzy, by wydać westchnienie, które rozsadzało mu piersi.

Coriolis rzekł:

— Proszę nigdy nie wymawiać przy nim tego słowa!

— Jakiego?

— Małpa!

— Ach! Więc on rozumie?

— Niech mu się pan przyjrzy a zobaczy pan, czy rozumie!

— Rzeczywiście! On mnie przeraża — rzekł nieznajomy, cofając się.

— Jeszcze raz powtarzam, proszę się nie bać. Rozgniewał go pan tem słowem, ale on muchy nie potrafi skrzywdzić.

— On mnie złości tą swoją muchą! — pomyślał Balaoo. — Niech pójdzie zapytać Lombarda, krawca z Zielonej ulicy, przyjaciela Camusa, czy ja potrafię co złego zrobić musze!

— O, on wszystko rozumie — powtórzył Coriolis.

— I twierdzi pan, że on mówi.

— Lepiej, niż nasi wieśniacy! Mów, Balaoo, powiedz mi cokolwiek.

Balaoo, widząc, że jest traktowany, jak ciekawe zwierzę, wyprowadzone na pokaz, zwrócił swą twarz, wykrzywioną wstydem i rozpaczą, w stronę tej, która zawsze w najgorszych chwilach była mu ratunkiem i pomocą. Magdalena, widząc jego zakłopotanie, uśmiechnęła się i wyrzekła:

— Grzeczność Nr. 10

Balaoo zwrócił się wówczas do nieznajomego:

— Nie miałem jeszcze zaszczytu być panu przedstawionym — rzekł grzmiącym głosem, od którego dom się zatrząsł.

— Ach! — zawołał nieznajomy. — Och! Ach! I otworzył szeroko oczy...

Ale Coriolis nie był zadowolony.

— Grzecznie! — rzekł — grzecznie! Miękkim głosem.

— Tak, Balaoo — wtrąciła Magdalena — mów łagodniej, jak najłagodniej.

Balaoo powtórzył zdanie ciszej.

— To niesłychane! — rzekł nieznajomy — niesłychane! To niemożliwe, to nie małpolud!

— Tak — rzekł Coriolis — to już człowiek.

Na te słowa Balaoo dumnie podniósł głowę.

Coriolis zaś ciągnął dalej:

— Mam zaszczyt przedstawić panu pana Noel, mego najlepszego współpracownika w studyach nad rośliną chlebową.

A zwracając się do Balaoo:

— Pan Herment de Meyrentin, sędzia śledczy, który pragnął bardzo poznać cię, mój przyjacielu. Proszę, siadajcie panowie.

„Ci panowie" usiedli.

— Wiesz, co to jest sędzia, mój drogi Noel? — zapytał z powagą Coriolis.

— Sędzia — odparł niemniej poważnie Balaoo — jest to człowiek, który wsadza do więzienia złodziejów.



Drzwi otworzyły się i Balaoo natychmiast poczuł, że go ciągną za ucho.

— A co to jest złodziej? — ośmielił się z kolei zapytać p. de Meyrentin.

— Złodziej — odpowiedział Balaoo bez wzruszenia — to człowiek, który zabiera komuś pieniądze, nie uprzedzając o tem. (I zamknął oczy, żeby nie widzieć dziwnego spojrzenia nieznajomego. Ten sędzia jest strasznie nudny, kiedy wyniesie się stąd nareszcie?)

— Może panowie napiją się herbaty? — odezwała się swym melodyjnym głosem Magdalena.

Herbata! Balaoo olśniony, otworzył szeroko oczy.

Magdalena podała mu filiżankę, Balaoo włożył cukier i zamieszał herbatę łyżeczką. Ale przypuszczając, że nikt nań nie patrzy, zmaczał szybko rękę w filiżance i oblizał palce, jak małpolud! Tego nie mógł sobie odmówić!

Coriolis i pan de Meyrentin, zajęci ożywioną rozmową, nie zauważyli tego wstrętnego ruchu, ale Magdalena zauważyła go i zrobiła mu po cichu uwagę. Balaoo ze spuszczonemi oczyma uśmiechnął się skrycie. Widząc, że Coriolis patrzy nań, pił jak człowiek i stawiał przyzwoicie filiżankę na spodku. Potem rozsiadł się niedbale w fotelu, założył nogę na nogę i uśmiechał się głupkowato.

Nagle pan de Meyrentin nachylił się, ujął jego prawą rękę i przyglądał się jej z uwagą.

— Ależ to nie są ręce...

— Milcz pan — przerwał mu raptownie Coriolis — prosiłem, żeby pan nie wymawiał tego słowa... Mówiłem panu o swej pracy, jaką prowadzę od piętnastu lat. Pracą i cierpliwością można dojść do wszystkiego. Niech pan spojrzy na jego twarz — czyż nie wygląda na ogorzałą twarz Chińczyka lub Japończyka? Któżby pomyślał, że to czwororęczny? Tego wyrażenia może pan używać, on go nie rozumie.

— Czwororęczny? Czwororęczny... — rzekł ze zdenerwowaniem sędzia śledczy — dotąd widziałem tylko dwie ręce!

— Balaoo, zdejm trzewiki!

Balaoo spojrzał ze zdumieniem, zdawało mu się, że źle usłyszał! Ale Coriolis powtórzył rozkaz. Zdjąć trzewiki! On ma to uczynić, on, któremu dotąd zabraniali to czynić przy ludziach, którego wychowywali we wstręcie dla kończyn dolnych. Nikt nie widział go jeszcze bez butów, prócz chyba braci Vautrin i to gdzieś w głębi lasu! I teraz ma to uczynić przed tym nieznajomym! O! nie! nie zrobi tego! Wstał z rękami w kieszeniach i gwiżdżąc, począł się przechadzać po pokoju. Rzecz dziwna: tamci nie powiedzieli na to nic, przyglądali mu się, jak przechadzał się z zamyśloną miną. Zapomniał, że spodnie ma rozdarte, urywek rozmowy tych dwóch panów nagle przypomniał mu o tem.

— Jak pan widzi, nie ma on ogona, ani też skostniałego wyrostka, jakie się widuje u czwororęcznych niższego gatunku — mówił Coriolis. — Biodra są mniej rozwinięte i bardziej zbliżone do bioder człowieka. Wreszcie chodzi powoli i z ostrożnością, oduczyłem go od kiwania się.

W tej chwili Balaoo, podrażniony, począł się kiwać.

— Kiwaj się! Kiwaj się dalej! — zawołał ze złością Coriolis. — Spróbuj tak chodzić po ulicach, a zobaczysz, jak się będą z ciebie śmiali!

Balaoo pomyślał: Idź spytaj Camusa i Lombarda, których znaleziono powieszonych, dlaczego kiwali się na sznurku!*)

Coriolis kazał mu usiąść i sam zdjął mu trzewiki i nawet skarpetki. (Dlaczego człowiek, który wsadzał złodziei do więzienia, ujrzawszy jego skarpetki, poruszył się raptem i przechylił głowę?) Balaoo pomyślał: Moje dolne ręce nie podobają mu się. I włożył dwa palce w nos, żeby ukryć swą złość. Coriolis wziął jego nogi w swe ręce i pokazał je sędziemu.

Balaoo odwrócił głowę, żeby nie patrzyć na to. Ale musiał słuchać.

— Widzi pan — mówił Coriolis — wielki palec u nogi jest odstawiony.

— Widzę! Widzę! To niesłychane! Nieprawdopodobne! Czwororęczny! Czwororęczny, który potrafi mówić! O! o! to nie do uwierzenia!

— Wszystkie zwierzęta mówią — odparł Coriolis — czwororęczny, jako najbardziej rozwinięty, posiada też mowę doskonalszą, którą potrafi wyrazić gniew, zadowolenie, głód, przestrach i t. p. Co do małpoluda, ten jest najdoskonalszy wśród czwororęcznych, to też odkryłem u niego czterdzieści dźwięków rozmaitych.

— Ale przy pomocy tych czterdziestu dźwięków nie potrafi on mówić, jak człowiek.

— Oczywiście, ale i na to znalazła się rada. Otwórz usta, Balaoo!

— Co za wspaniałe zęby! — wykrzyknął sędzia, gdy Balaoo, zgnębiony i zrozpaczony, posłuchał rozkazu swego pana.

— Daj pan spokój zębom, drogi panie i spojrz na krtań! Zawsze twierdziłem, że wszystko można udoskonalić! Dużoby o tem mówić, jak do tego doszedłem, ale w każdym razie widzi pan tu rezultat.

— Niesłychane! Niesłychane! I on teraz mówi, jak człowiek! Ale czy jest w stanie obecnie wydawać dźwięki zwierzęce, jak dawniej?

— Oczywiście, chociaż czyni to z większą trudnością. Mów, Balaoo, jak dawniej!

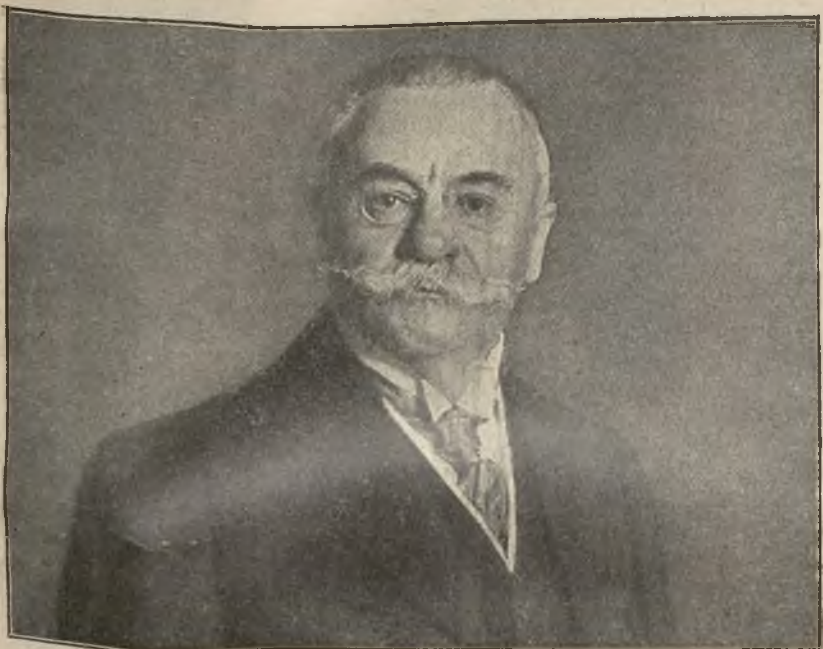
*) Camus i Lombard byli kulawi, Balaoo zaś myślał, że przedrzeźniają jego chód kiwający się i za to ich powiesił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nad świeżą mogiłą.

(Do illustracyi na str. 3).

We Lwowie zmarł w dniu 5 stycznia b. r., przeżywszy lat siedmdziesiąt cztery, powszechnie szanowany i ceniony obywatel hr. Tomasz Stadnicki, syn hr. Juliusza i kasztelanki Maryi z Grabowskich.



Burzliwe odgłosy Marokka: Delcasse, francuski minister marynarki w dawnym i obecnym gabinecie.

Od wczesnej młodości prawie do ostatnich chwil życia interesował się ś. p. zmarły żywo sprawami krajowemi i brał wybitny udział w życiu publicznem, nic też dziwnego, że potrafił sobie zjednać uznanie współobywateli, którzy zaszczycili go mandatem poselskim do Rady państwa, a także powołali w skład Rady nadzorczej byłej kolei Karola Ludwika i galicyjskiego Banku hipotecznego. Na wszystkich tych stanowiskach pracował gorliwie i wydatnie, w niedawnym dopiero czasie usunął się z powodu podeszłego wieku z widowni życia publicznego, pozostawiając po sobie pamięć niestrudzonego i bezinteresownego działacza na niwie społecznej.

Z małżeństwa ze ś. p. Konstancyą Jordanówną, która przed laty była prawdziwą ozdobą lwowskiego towarzystwa, pozostawił jedynego syna, Stanisława, który również dał się poznać jako obywatel, gotów poświęcić wszystko dla dobra swego kraju.

Zwłoki ś. p. Tomasza Stadnickiego złożono na cmentarzu Łyczakowskim, dokąd odprowadziła je liczna rzesza krewnych, przyjaciół i znajomych.

Burzliwe odgłosy Marokka.

Upadek ostatniego gabinetu francuskiego, wobec okoliczności, w jakich to przesilenie ministeryalne nastąpiło, zaczyna nabierać znaczenia ogólno-europejskiego. Powody jego sięgają głęboko w stosunki polityczne francuskie, jak również dowodzą, iż rzekoma przyjaźń między Francyą a Niemcami, jaka miała być zapoczątkowana zawarciem układu w sprawie marokkańskiej, opiera się na bardzo kruchych podstawach.

We Francyi zaznaczyły się od dłuższego czasu dwa kierunki polityczne. Jeden pragnie za wszelką cenę doprowadzić do zbrojnego starcia z Niemcami i wyrazem jego był minister Delcasse, który piastował tękę ministerstwa marynarki w gabinecie p. Caillaux. Drugi zaś kierunek dąży do utrzymania ze wszystkimi sąsiadami pokoju.

Spór o Marokko, który groził zbrojnym porachunkiem między Francyą a Niemcami, zakończył się, dzięki wytężonej pracy dyplomacyi, układem, zawartym między kanclerzem Rzeszy niemieckiej Bethmanem Hollwegem a francuskim ministrem spraw zagranicznych de Selvesem. Zdawało się, że stosunki między obu państwami wejdą na normalne tory. Tymczasem zarówno w Niemczech, jak i we Francyi pojawiła się w parlamentach ostra opozycya przeciwko temu traktatowi. W Niemczech partyę niezadowolonych poparł niemiecki następca tronu, we Francyi zaś rzecznikiem opozycyi stał się były prezydent ministrów Clemenceau. Na posiedzeniu komisyi senatu zainterpelował on w ostrej formie ministra spraw zagranicznych de Selvesa, czy prawdą jest, że rolę pośredników między obu mocarstwami odgrywali ajenci prywatni i czy minister o wszystkich swych krokach dyplomatycznych zdawał sprawę prezydentowi ministrów. Minister de Selves odmówił odpowiedzi, zasłaniając się tajemnicą dyplomatyczną i względami koleżeńskości. W odpowiedzi na to Clemenceau zarzucił mu, iż stara się opinię w błąd wprowadzić i opuścił posiedzenie.

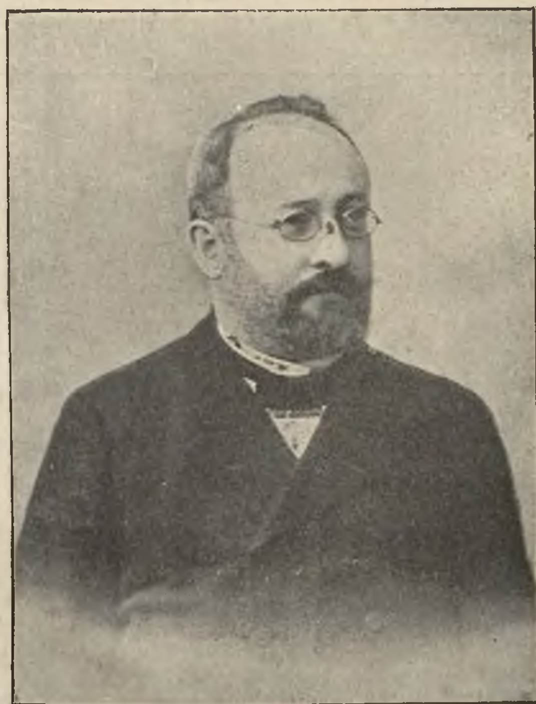
Przyszło do ostrego starcia między prezydentem ministrów a ministrem spraw zagranicznych, wynikiem którego było, że najpierw minister de Selves, a za nim w parę dni cały gabinet podał się do dymisyi.

Partya wojenna wysunęła jako kandydata na prezydenta ministrów ministra marynarki Delcasse, na co Niemcy odpowiedziały energicznym protestem, oświadczając, że powierzenie rządów właśnie Delcassemu uważać będą za prowokacyę pod swoim adresem. Delcasse jest bowiem znany jako nieprzyjaciel Niemiec, które już raz przyczyniły się do tego, że musiał ustąpić ze stanowiska ministra spraw zagranicznych. Kiedy prezydent republiki zaproponował Delcassemu objęcie prezydentury gabinetu, ten postawił jako warunek żądanie daleko idących pełnomocnictw i wolnej ręki w działaniu. Ma się rozumieć, prezydent nie mógł tego warunku przyjąć.

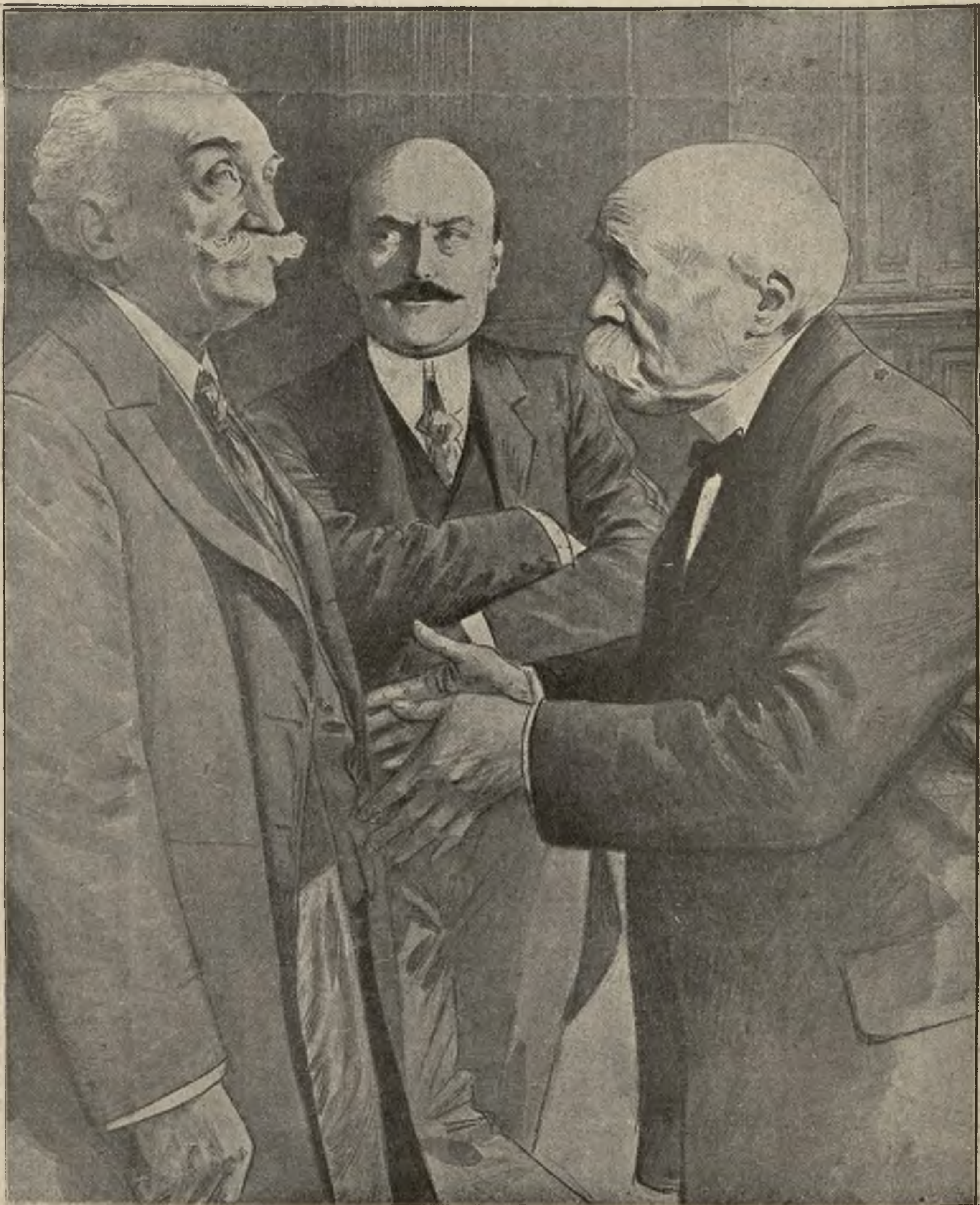
Po długich naradach i rokowaniach utworzony został nowy gabinet pod przewodnictwem p. Poincarre. Do gabinetu tego wszedł także były minister Delcasse jako minister marynarki i on właściwie dalej będzie kierował polityką zagraniczną Francyi. Nowy gabinet nazywają „wielkim“, gdyż na 12 ministrów zasiada w nim jedenastu byłych ministrów, a między nimi tacy parlamentarzyści i politycy, jak Briand, Millerand, Bourgeois i Dupuy.

Czy ten gabinet potrafi rozproszyć burzę, która znowu z powodu Marokka nad Francyą się zbiera, dzisiaj trudno przewidzieć. W każdym razie politycy, w nim zasiadający, są powołani do odegrania ważnej roli w historyi Francyi.

Illustracye nasze przedstawiają ministra Delcassego, którego nazwisko związane jest z polityką zagraniczną Francyi w ostatnim dziesiątku lat, oraz chwilę, kiedy po starciu w komisyi senatu prezydent ministrów Caillaux, minister de Selves i były minister Clemenceau toczą gorącą dysputę.



Jubileusz profesora: Dr. Bolesław Ulanowski, profesor Wszechnicy Jagiellońskiej i jen. sekretarz Akademii Umiejętności w Krakowie.



Burzliwe odgłosy Marokka: Główni bohaterowie przesilenia gabinetowego we Francyi: b. minister spraw zagranicznych de Selves, b. prezydent gabinetu Caillaux i Clemenceau.

Kronika tygodniowa.

Dzisiejszą kronikę zacząć muszę od publicznego wyznania, iż wierzę już w przepowiednie pani de Thèbes, która rok 1912 nazwała rokiem „czarnym". Pokpiwałem sobie także z przepowiedni zakopańskich górali, twierdzących, że zima da się nam we znaki i na złość nie wykupiłem futra, tymczasem widzę, że i paryska wieszczka i tatrzańscy meteorologowie mieli zupełną słuszność. Mróz jak chwycił przed tygodniem, tak trzyma, w świecie politycznym zaś wre, jak w garnku z ukropem.

Zawiodłem się więc, zanadto zaufałem swym kombinacyom, ale pociesza mnie, że nie ja jeden osiadłem na lodzie. Za karę studyuję teraz tajniki języka esperanto, by módz w lecie godnie przyjąć zjazdowiczów, którzy mają nadciągnąć nad Wisłę i Rudawę, aby ujrzeć na scenie „Halkę" i „Mazepę".

W pierwszym rzędzie posmutniały miny urzędnikom, którzy liczyli, jak „na Zawiszę", na ów dodatek drożyźniany, mający chwilowo zastąpić im regulacyę płac. Zapowiedziano uroczyście, a rządowi można chyba wierzyć, że owa jałmużna (inaczej jej nie można nazwać) wypłaconą będzie w pierwszej połowie stycznia, tymczasem, jak dotąd, nawet o niej nie słychać. Kto miał do czynienia z naszemi władzami, zwłaszcza, jeśli chodziło o wydobycie od nich bodaj najmarniejszej sumy, ten wie, że trzeba mieć anielską cierpliwość i poświęcić w tym celu przynajmniej jedną parę trzewików. Jeśli tyle zachodów ma się z drobną kwotą, należącą się pojedynczej osobie, cóż dopiero myśleć o milionach, które trzeba rozdzielić pomiędzy setki tysięcy. Machina urzędowa trzeszczy i poci się, znany austryacki „amtsschimmel" wierzga, choć mu reumatyzm powykręcał odnóża, a mający być obdarzonymi tak hojnie modlą się gorąco do świętego Biurokracego, czekając zmiłowania Bożego.

A tyle nadziei rojono na ten temat! Obiecywano sobie złote góry, żonom i córkom nowe garnitury ślizgawkowe, synom sanki i trzewiki, nawet służącej sztuczkę perkalu na fartuszek, tymczasem ze wszystkiego nic — dodatek drożyźniany zamarzł gdzieś w drodze pomiędzy Wiedniem a Lwowem i nie można go w żaden sposób odszukać. Okoliczność ta wywołała gwałtowną zniżkę kursów na czarnej giełdzie koło kościoła św. Wojciecha, gdzie, jak wiadomo, wielu urzędników lokuje swoje oszczędności.

Najlepiej stosunkowo wyszli kolejarze. Wprawdzie nie dostąpili jeszcze tego zaszczytu, aby być cesarsko-królewskimi urzędnikami, pokazuje się jednak, że i to przyda się na coś, gdyż mają już płace uregulowane w drodze rozporządzenia ministeryalnego i śmieją się ze swych c. k. kolegów, ćwiczących się ciągle w świętej cnocie cierpliwości.

Brylantowy interes na owym dodatku drożyźnianym, (którego naturalnie także jeszcze nie otrzymali) zrobili gimnazyalni zastępcy nauczycieli, czyli tak zwani suplenci. Jeśli idzie o wymagania, jakie się im stawia, powiada się zawsze, że są to urzędnicy, postawieni zupełnie na równi z rzeczywistymi nauczycielami, których miejsce zastępują, jeśli jednak trzeba dla nich coś zrobić, odmawia się im wszystkiego i stawia niżej... *risum teneatis*... od gimnazyalnego tercyana, mającego dekret i prawo noszenia c. k. munduru z różnemi jubileuszowemi i niejubileuszowemi odznakami. Wyjątek zrobiono w r. 1908, przyznając suplentom prawo otrzymania krzyżów jubileuszowych, zreflektowano się jednak dość wcześnie i żałowano tego kroku, wychodząc ze zasady, że tak niespodziewane odznaczenie gotowo im w głowie poprzewracać! Jakiś tam marny suplencina ma nosić na piersi tę samą dekoracyę, co sam pan dyrektor i pan c. k. tercyan! To rzecz niesłychana...

Wobec tego, przy wymierzaniu dodatku drożyźnianego postanowiono suplentów obdarować sowicie i zaliczono ich do tej samej klasy, co państwową służbę i rozmaitych „Anwärterów". Pięćdziesiąt koron i to do tego w gotowiźnie, to nie byle co, niejeden ze względu na to, że to karnawał, gotów się nawet ożenić, otrzymawszy tak wspaniałą remuneracyę. Przyznaję czynnikom miarodajnym zupełną słuszność, taki „biedakulus" nie wiedziałby nawet, co zrobić z większą kwotą. Na tem ucierpiałaby tylko szkoła, suplenci myśleliby tylko o sprawunkach, nie o nauce, a kto wie, czy nie znalazłby się między nimi jaki śmiałek, któryby zakupił kilkanaście par... przepraszam za wyrażenie... inexprimabli wiedeńskich.

Chowajcie więc, jeśli *nota bene* dostaniecie, bo i to może się przytrafić, że zapomną o was w pospiechu, owę pięćdziesięciokoronówkę i chwalcie dobroć rządu, który o was i o wasz byt się troszczy, pamiętajcie jednak o mądrej maksymie, przekazanej nam przez ojców, że kto chce w Austryi być szczęśliwym, powinien *Maul halten und weiter dienen.*

Takimi samymi „białymi murzynami" są i nauczyciele ludowi, tem się jednak różnią od poprzednio wymienionych, iż podlegają kompetencyi sejmowej.

Widząc, że wszystkim innym dykasteryom obiecano coś, postanowili i oni przypomnieć się łaskawej pamięci swej przełożonej władzy i korzystając ze zwołania galicyjskiego sejmu, urządzili w ubiegłą niedzielę masowy wiec we Lwowie. Zjechało się kilka tysięcy tak zwanych „głodomorów", aby przedstawić sejmowi swe postulaty, przyjęto ich stosunkowo dość grzecznie i obiecano, że „jeśli się da, to się zrobi".

Gdyby zapowiedziano tak masowy zjazd z prowincyi, choćby nawet do stołecznego miasta, restauratorzy byliby w kłopocie, ponieważ jednak miało się do czynienia z nauczycielstwem ludowem, jak wiadomo, umiejącem się doskonale obchodzić (dzięki troskliwości czynników miarodajnych) bez jedzenia, nie kłopotano się o to wcale.

Rada szkolna zaproponowała Sejmowi, aby na ten dzień sprowadzić do Lwowa słynnego głodomora Succi'ego, który przez czterdzieści dni potrafi się obchodzić bez jedzenia i picia i zademonstrować go wiecownikom, odstąpiono jednak od zamiaru, a to z tego powodu, iż kredyt na cele szkolnictwa już wyczerpany, a zresztą Succi już umarł i to z powodu biedy, gdyż przymieranie głodem nikogo już nie zajmuje, tak spowszedniało na całym świecie.

Wracając jednak do żądań nauczycieli, zaznaczyć należy, że nie pragną oni niczego nadzwyczajnego, tylko bodaj skromnego, a odpowiedniego swej ciężkiej pracy wynagrodzenia. Zrównanie płac z czterema najniższemi rangami urzędniczemi zadowoliłoby ich najzupełniej. Rada szkolna krajowa na wezwanie Sejmu z r. 1910 zajęła się obliczeniem kosztów owego podwyższenia. Ogółem wymagałoby ono prawie czternastu milionów koron, co pociągnęłoby za sobą podwyższenie dodatków do podatków o 50%. Wobec tego uchwalono przy zielonym stoliku, iż należy dać nauczycielstwu coś, ale nie wszystko, to jest znieść najniższą klasę płac, podwyższyć dodatki pięcioletnie i do każdego stopnia zaliczyć jedną trzecią nauczycielstwa, a nie tak, jak dotąd się praktykowało, że w najniższej było ich najwięcej. Osławiony austryacki „Sparsystem"! Poprawa w powyższym kierunku wymagałaby około półczwarta miliona rocznie, a taki wydatek zdaniem Rady szkolnej krajowej zniósłby łatwiej budżet krajowy, cierpiący, jak wiadomo, także na chroniczną niedomogę.

Dopiero w r. 1913 (jeśli tymczasem nie będzie końca świata) otrzyma kraj od Wysokiego Rządu zasiłek z podwyższenia podatku od wódki i piwa, na razie coś więcej niż ośm milionów rocznie, w późniejszych latach zaś prawie po czternaście milionów, więc chyba na brak funduszu nie będzie można narzekać. Trzeba więc tylko dobrej woli członków Sejmu krajowego, a już teraz znalazłyby się pieniądze na zaspokojenie słusznych żądań nauczycielstwa krajowego, choćby nawet miano się uciec do tak popularnych obecnie „krótkoterminowych pożyczek", mających znaleźć pokrycie w tem lub owem źródle.

W każdym razie sprawa polepszenia bytu nauczycieli wejdzie na porządek dzienny jednego z najbliższych posiedzeń sejmowych, czy jednak nie ucierpi skutkiem obstrukcyi Rusinów, tego nawet pani Thèbes nie potrafi przewidzieć, a tembardziej ja, który... *sit venia verbo*.. sparzyłem się już na tegorocznym mrozie i innych proroctwach...

Jedynie o awantury ruskie mogę być zupełnie spokojnym, gdyż nie ulega najmniejszej kwestyi, że lada dzień wybuchną z całą siłą, komedya bowiem jest już zupełnie wyreżyserowana, a role rozdane. Rolę tytułową obejmie nieoceniony Tymko Staruch, w przedstawieniu weźmie udział cały ruski personal sejmowy, a na zakończenie zabierze głos pan namiestnik, który odczyta cesarski patent, rozwiązujący sejm królestwa Galicyi i Lodomeryi i polecający przeprowadzenie nowych wyborów. W lwowskiem namiestnictwie już podobno przygotowano wszystko do nowej kampanii wyborczej, która zapowiada się w bardzo czarnych kolorach.

Skoro już mowa o wyborach, to przy tej sposobności wspomnieć muszę o klęsce, jaką ponieśliśmy w Niemczech. Spowodowała ją po części secesya konserwatystów, którzy nie chcieli głosować na narodowego demokratę.

Tyle już wody nalało się nam w uszy, tyle mówiono i pisano u nas o solidarności narodowej, że doprawdy dziwić się trzeba, iż nasi konserwatyści z pod zaboru pruskiego zapomnieli o karności i solidarności i pozwolili sobie wydrzeć kilka mandatów.

Także i cesarz Wilhelm nie jest z wyborów zadowolony, gdyż wpakowało mu się do parlamentu trochę za wielu „towarzyszy", a spora ich paczka czeka jeszcze na wybory ściślejsze. Z tego powodu nakazano nawet kaznodziei dworskiemu, aby wygłosił przemowę, zapowiadającą koniec świata, ale i to nie zdało się na nic, gdyż było już po niewczasie. Cios to dla władcy Germanii niemniej bolesny, jak zmiana gabinetu we Francyi, gdzie o mały figiel nie objął teki spraw zagranicznych tak zdeklarowany przyjaciel Niemiec, jak Delcassé.

Nic też dziwnego, że cały świat nastrojony jest bardzo wojowniczo, tu i ówdzie słychać pogłoski o możliwości zbrojnego starcia (nikt jednak nie chce powiedzieć: kto i z kim). Niewątpliwie przyczynia się do tego nadmiernego wyładowania energii zwiększający się z dnia na dzień mróz, choć znów z drugiej strony powinna każdego uspokoić pogłoska, że pobór rekruta w Austryi odroczono aż do jesieni, a bez żołnierzy, jak wiadomo, wojny prowadzić nie można.

Na zakończenie poświęcić muszę kilka słów krakowskiemu Towarzystwu Strzeleckiemu, które mogłoby być bardzo ważnym czynnikiem w życiu krakowskiego mieszczaństwa, coś w guście lwowskiej „Strzelnicy", a jest właściwie zerem, ograniczającem swą społeczną i kulturalną działalność na kilku bibach corocznie i niewielkiej ilości zepsutego prochu. Powodem opór starych członków, którzy uważają Towarzystwo za swą własność i nie chcą dopuścić doń młodszych, którzy przecież także mają apetyt i pragnienie... Krakowscy strzelcy są bogaci, wystarczy dla wszystkich!

Na tem podłożu — według doniesienia pism codziennych — wykwitł spór pomiędzy obecnym prezesem Towarzystwa, drem Staniszewskim a radą zawiadowczą, która postanowiła nie przyjmować więcej członków a obchody ograniczyła do tradycyjnej gęsi na św. Marcina i zabawy Sylwestrowej. To zniechęciło prezesa, zasłużonego koło rozwoju Towarzystwa i było powodem jego rezygnacyi, która przypomniała miastu, że na krakowskiej Strzelnicy nie dzieje się tak, jakby powinno. Trudno przecież pozwolić, by najbogatsze nasze towarzystwo prowadziło tak ospały żywot i by ulegało woli, a raczej samowoli, kilku jednostek.

„Przestańcie strzelcy, bo się źle bawicie!"...

Głosy publiczne.

„**Sztuka**". Na odbytem dnia 9 stycznia b. r. Walnem Zebraniu Towarzystwa Artystów Polskich „**Sztuka**" wybrano Wydział na rok 1912 w składzie którego weszli: Prezes: p. Ksawery Dunikowski, wiceprezesowie: p. Olga Boznańska, i p. Stefan Filipkiewicz, sekretarz Wydziału: p. Karol Maszkowski, zastępca: p. Jan Bukowski, skarbnik: p. Stanisław Podgórski, członkowie Wydziału: Władysław Jarocki (Lwów) Ludwik br. Puszet (Paryż).

Jubileusz profesora.

Dość skromnie uczcił Uniwersytet Jagielloński 25-lecie profesury jednego ze swoich najznakomitszych mistrzów Bolesława Ulanowskiego. Skromność uroczystości była jednak wynikiem stanowczej niechęci do wszelkich obchodów jubileuszowych ze strony profesora.



Pod znakiem zimy: Grupa ludzi grzejących się przy piecu ulicznym w Warszawie.

Dziekan wydziału prawniczego prof. Estreicher zaprosił jubilata na „ważne posiedzenie" fakultetu. Prof. Ulanowski, który swe obowiązki spełnia zawsze nadzwyczaj sumiennie, przybył oczywiście natychmiast do sali konferencyjnej w Collegium Novum. Zdziwił się jednak niepomiernie, zobaczywszy w konklawe prawniczem nie tylko wszystkich profesorów i docentów prawa, ale także cały senat uniwersytecki z rektorem Szajnochą na czele i to wszystkich uroczyście ubranych. Rozpoczęło się nadzwyczajne posiedzenie fakultetu. Dziekan Estreicher zabrawszy głos w gorących słowach skreślił zasługi prof. Ulanowskiego dla nauki prawa polskiego, kościelnego i małżeńskiego, jego działalność pisarską i pedagogiczną i jego wreszcie poświęcenie dla Wszechnicy, objawiające się w niezmiernie sumiennem administrowaniu drukarnią uniwersytecką. Następnie wręczył jubilatowi książkę z pracami naukowemi profesorów i docentów prawa Uniw. Jag. Przemówił nadto równie serdecznie rektor Szajnocha, składając również hołd zasługom znakomitego profesora.

Prof. Ulanowski tą uroczystością został zaskoczony. Ani przypuszczał, że ktokolwiek będzie pamiętał o jego jubileuszu. Cały plan obchodu był przed nim zupełnie zatajony.

Prof. Ulanowski jest w Krakowie niezmiernie popularny. Oprócz profesury i zarządu drukarni Uniwersyteckiej piastuje jeszcze godność sekretarza generalnego Akademii Umiejętności i jest naprawdę jej całkowitym kierownikiem. Wydał mnóstwo źródeł do prawa polskiego i kościelnego, organizował różne naukowe wydawnictwa z ramienia Akademii, ogłosił szereg prac naukowych. Jako pedagog prof. Ulanowski jest serdecznie kochany przez uczniów mimo swej pozornej szorstkości i stale — złego humoru.

Podnieść jeszcze należy, że przed 4 laty Uniwersytet wybrał prof Ulanowskiego swym rektorem. Prof. Ulanowski jednak nie przyjął tego zaszczytu. Wielka nauka idzie u niego w parze z wielką skromnością.

Czterdzieści lat na stanowisku.

Coraz rzadziej zdarza się nam spotykać wzmianki o osobach, które po kilkadziesiąt lat spędziły na jednem i tem samem stanowisku. Powodem tego po części pewnego rodzaju wyrodzenie się ludzkości, po części zaś zniechęcenie.



Czterdzieści lat na stanowisku: Rudolf Froniek, od czterdziestu lat główny kasyer teatrów warszawskich.

Nic też dziwnego, że o każdym, kto prawie pół wieku spędził na swym posterunku, wspomina się z uznaniem i spogląda nań z podziwem, życząc sobie, by można wejść w jego ślady.

W tem miłem położeniu znalazł się p. Rudolf Froniek, od lat czterdziestu główny kasyer teatrów warszawskich.

By uczcić Jubilata, który pomimo podeszłego wieku cieszy się doskonałem zdrowiem i okazuje niespożytą energię, zgromadził się w sali posiedzeń zarządu teatrów rządowych personal urzędniczy wraz z przedstawicielami działów artystycznych.

Prezes Małyszew podniósł zasługi długoletniego kasyera i wręczył mu kosztowny podarunek od kolegów, imieniem artystów przemawiał p. Giller.

Wieczorem odbył się wspólny bankiet na kilkadziesiąt osób, w czasie którego wygłoszono wiele podniosłych przemówień, życząc Jubilatowi jeszcze długiej pracy w teatrach, tak pożytecznej, jak dotychczas i tak zasłużonem otoczonej uznaniem.



Za ratowanie ginących: Grupa członków warszawskiej straży ogniowej, odznaczonych medalami za ratowanie z płomieni ofiar pożaru.

Za ratowanie ginących.

Gdy nad miastem lub wioską zabłyśnie łuna pożaru, każdy z trwogą spogląda na nią. Niszczący żywioł nie oszczędza bowiem niczego, a rozpętany staje się często powodem wielkich klęsk, zabierając nieraz w dani i życie ludzkie. To też z uznaniem



Walka z bandytą we Lwowie: Pokój, w którym ukrywający się bandyta Białoń zamordował ajenta policyi.

odnosimy się zawsze do tych, którzy w takich ciężkich chwilach spieszą na ratunek, nie szczędząc sił, a nieraz i swojego życia. Zadanie straży ogniowej często nie jest łatwe. Dym duszący, spadające belki grożą na każdym kroku jeśli nie śmiercią, to w każdym razie kalectwem lub chorobą. Tym, którzy w tej walce z niszczącym żywiołem składają dowody bohaterstwa, społeczeństwo w nagrodę daje swe uznanie. Właśnie w Warszawie odbyła się w dzień Nowego Roku uroczystość wręczenia honorowych medali siedmiu członkom straży ogniowej warszawskiej, którzy z narażeniem życia uratowali kilkanaście osób od niechybnej śmierci w płomieniach.

Dwaj z nich, pp. Pręgowski i Komoda, podczas pożaru na Nowolipiu w Warszawie wyratowali z płomieni dwoje dzieci, inni zaś podczas pożaru tajnej fabryki celuloidu na Starem Mieście ocalili życie kilkunastu osobom. W nagrodę za te czyny wręczono im uroczyście medale z napisem „Za ratowanie ginących".

Illustracya nasza przedstawia grupę odznaczonych.

Pod znakiem zimy.

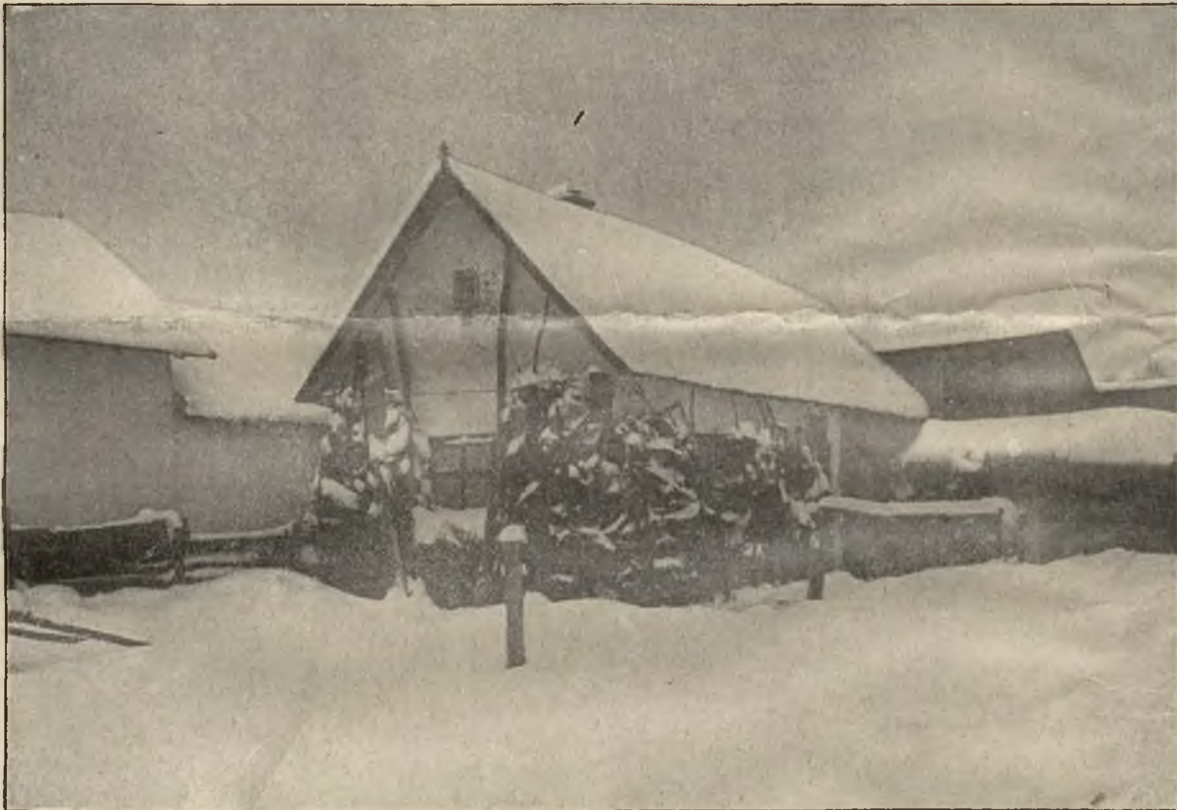
Zima, która nareszcie do nas zawitała, obok pięknego białego całuna, jakim pokryła ziemię, przyniosła drugiego jeszcze gościa... mróz. Nieprzyjaciel ciepła, wciska on się wszędzie, dokuczając nieraz niemiłosiernie. Ludzie bogaci mniej się go boją, gdyż wesoło trzaskający ogień na kominku lub piecu, albo więcej nowoczesne piecyki gazowe i elektryczne chronią ich przed tym nieporządanym gościem. Bardziej dokuczliwym staje on się dla ludzi ubogich, zwłaszcza dla tych, którzy zmuszeni są rodzajem swych zajęć spędzać nieraz cały dzień na mroźnem powietrzu. Dorożkarze, ekspresi, przekupnie, roznosiciele gazet, wyrobnicy oczekujący na zarobek na placach i ulicach, z obawą liczą każdy wzrastający stopień zimna, gdyż to ich wróg nieubłagany. Niektóre miasta, a między nimi Warszawa zarządziły, aby przy mrozie przenoszącym 10° R. ustawiano na publicznych placach piece, w których dzień i noc płonie ogień, grzejąc zmarznięte członki tych biedaków.

Zdjęcie nasze przedstawia właśnie taki piec, otoczony łaknącymi ciepła, który przy piętnastostopniowym mrozie płonie na placu przed dworcem kolei Warszawsko Wiedeńskiej w Warszawie.

Walka z bandytą we Lwowie.

Klęska bandytyzmu, która ciągle trapi Król. Polskie, zaczyna coraz bardziej zagrażać i Galicyi. Zwłaszcza Lwów w przeciągu kilku ostatnich miesięcy był kilkakrotnie świadkiem krwawych napadów i rabunków. Policya lwowska czyniła wszystko, aby oczyścić bruk lwowski z tych nieproszonych gości. Od dłuższego czasu poszukiwano niebezpiecznego bandytę Władysława Białonia, który według przypuszczeń policyi, brał udział w szeregu napadów i włamań we Lwowie. Między innymi uczestniczył on w głośnym swojego czasu włamaniu przy ul. Długosza, gdzie bandyci zastrzelili stróża domu Bieniarza i ciężko poranili jednego z lokatorów. Mimo energicznego śledztwa umiał się jednak sprytny rzezimieszek przez czas dłuższy ukrywać we Lwowie.

Dopiero w ubiegły poniedziałek doniesiono policyi, że Białoń przebywa u dorożkarza Szopskiego na Brandstätterówce. Celem ujęcia go udali się natychmiast na miejsce kom. policyi Pisarski i trzej ajenci policyjni Kurant, Janklewicz i Seinfeld. Kiedy zbliżyli się do wskazanego domu, ujrzeli w oknach światło, a podkradłszy się, przez szparę zbadali



Walka z bandytą we Lwowie: Dom, w którym zamordowano ajenta policyi Kuranta.



Walka z bandytą we Lwowie:

Ajent policyi Janklewicz. | Zamordowany przez bandytę ajent policyi Kurant. | Ajent policyi Seinfeld. | Bandyta Białoń, morderca ś. p. Kuranta.

wnętrze izby i przekonali się, że bandyta istotnie jest w mieszkaniu i spokojnie leży na łóżku, czytając książkę.

Czekano chwilę, aż światło w izbie zgasło, poczem podzielono role. Komisarz Pisarski stanął z rewolwerem w ręku pod oknem, zaś ajenci zaczęli dobijać się do drzwi. Na spotkanie ich wybiegł z izby dorożkarz Szopski, którego natychmiast aresztowano, zaś ajent Kurant skoczył pierwszy do wnętrza i rzucił się na Białonia, starając się go ubezwładnić. Wywiązała się krótka walka, w czasie której bandyta wydobył rewolwer i strzelił w ajenta, przykładając mu lufę prawie do piersi. Kurant trafiony w okolicę serca padł na miejscu. Miał jednak jeszcze tyle przytomności, że ze swego rewolweru wystrzelił w kierunku zbrodniarza i krzyknął, ostrzegając biegnących na ratunek kolegów. Ci rzucili się na bandytę, który chciał ponownie wystrzelić, ale ponieważ łuska pierwszego naboju nie wyskoczyła z lufy, pistolet zawiódł. Ubezwładniono zranionego bandytę, poczem po zapaleniu lampy pospieszono na ratunek Kurantowi.

Ten już jednak nie żył. Bandytę, który był również ranny, po opatrzeniu odwieziono do szpitala więziennego.

Zbrodnia uwodziciela.

(Do illustracyi na str. 4).

Zbrodnie na tle rozgrywających się dramatów miłosnych są, niestety, na porządku dziennym. Najczęściej jednak ofiary swej łatwowierności w chwili rozpaczy chwytają za broń, by targnąć się na własne życie lub dokonać krwawego porachunku za swe upokorzenie. W tych dniach jednak rozegrał się w Pruszkowie pod Warszawą krwawy dramat, w którym uwodziciel dokonał morderczego zamachu na skrzywdzoną przez niego kobietę. Szczegóły tej potwornej zbrodni są istotnie niezwykłe.

W Pruszkowie mieszkał urzędnik warsztatów kolei warszawsko wiedeńskiej, Ludwik Grudziński, który do prowadzenia gospodarstwa domowego sprowadził sobie swoją siostrę cioteczną, 19 letnią Kazimierę Zielińską. Kilka miesięcy minęło spokojnie. Opowiadano głośno, iż młodzi myślą o ślubie, ale p. Grudziński jakoś nie spieszył się z doprowadzeniem tego zamiaru do skutku. Wreszcie p. Zielińska uczuła się matką i musiała udać się do Warszawy, gdzie zamieszkała u swej siostry.

Tutaj p. Zielińska dowiedziała się, że jej narzeczony od dłuższego czasu stara się o rękę córki inżyniera, panny Stanisławy Prz. Zwróciła się więc do rodziców tej panny oraz do niej samej, przedstawiając im swój stosunek do p. Grudzińskiego. Ale prośby te pozostały bez rezultatu. Ślub młodej pary odbył się też przed kilkunastu dniami i państwo młodzi zamieszkali w Pruszkowie.

Panna Zielińska, pozostawiona bez środków do życia, przybyła pewnego dnia do Pruszkowa, a spotkawszy wieczorem na ulicy p. Grudzińskiego, prosiła go, aby przyszedł jej z pomocą materyalną, gdyż w najbliższych tygodniach ma zostać matką. Po krótkiej rozmowie p. G. dobył nagle brauninga i strzelił do p. Zielińskiej, która runęła na ziemię. Przechodnie rzucili się na ratunek i udaremnili dalsze strzały. Pannę Zielińską po udzieleniu jej doraźnego opatrunku przewieziono do Warszawy do szpitala „Dzieciątka Jezus“. Stan jej jest bardzo ciężki, kula bowiem strzaskała kość w lewej nodze i utkwiła w udzie, a operacyi wyjęcia kuli niepodobna dokonać ze względu na ogólny stan jej zdrowia. Grudzińskiego natychmiast aresztowano, a sensacyjną tą sprawą zajmuje się obecnie cała Warszawa.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. A. Lorencki Warszawa: I owszem! Polecamy się i nadal łaskawej pamięci.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 1.

Łamigłówka: Dosiego Roku!

Logogryf:

H	i	e	r	o	n	i	m	
	U	t	o	p	i	a		
M	a	g	i	s	t	e	r	
	O	b	e	r	e	k		
R	e	z	u	l	t	a	t	
	E	r	s	l	e	w		
S	t	r	o	n	i	c	a	
	K	a	l	e	k	i		
I	n	d	y	a	n	i	n	

Bilety wizytowe: Doktor teologii. Naczelnik biura. Inżynier technik. Kamerdyner.

Zadanie na rozsypane litery: Kto nie gra, nie straci.

Przysłowiówka: Jak świat światem, nie był nigdy Niemiec Polakowi bratem.

Szarada: Sudety.

Logogryf:

L	a	m	p	a
C	h	i	n	y
S	u	k	n	o
P	r	o	s	o
P	a	ł	k	a
K	l	a	r	a
B	a	j	k	a
R	e	k	i	n
K	r	o	w	a
K	o	p	i	a
G	l	e	b	a
P	a	r	y	ż
H	a	n	i	a
Ś	n	i	e	g
S	o	k	ó	ł

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Richter Sambor, L. Grodzicki Warszawa, K Angermann Lwów, M. Wieckowska Piotrków, J. Sadowski Kraków, K Michalik Sanok, J. Zach ra Drohobycz, J. Wcka Lwów, S Karwowski Stanisław, M Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J Roland Kraków, S. Kryżanowski Podgórze, M Karczmarski Podłębie, D. Sedyńska Kraków, J Śmirski Piotrków, W. Bardowski Częstochowa, M Kwaśniewski Przemyśl, J Nowacki Gorlice, D Gross Lwów, J. Leszczyński Kraków, S Rodzeń Nowy Sącz, K. Dziewiński Warszawa, J. Obst Warszawa, H Lisowski Lwów, H Górska Kraków, J Lewandowski Stanisławów, K. Tomaszewski Jasło, K. Ciszewski Piotrków, J. Jabłoński Lwów, J. Jakubowska Kraków, A Gralewski Kraków, D Engelberg Rzeszów, I Brzostowski Podgórze, J. Stojek Tarnopol, A. Siatka Kraków, S Rogaliński Kraków, J Rosenbaum Tarnobrzeg, A. Balicki Stanisławów, J. Wilczkiewicz Lwów, E Niestenberger Lwów, K Galiński Sambor, A. Augustynowicz Kraków, B. Michlec Zakopane, F. Urban Lwów, S. Zareba Kraków, J Kowalczyk Wieliczka, F Horak Oświęcim, T. Nikiel Kołomyja, J. Sadowski Kraków, S. Rogowski Warszawa, T Biliński Sambor, A. Pick Warszawa, K Wang Rzeszów, K. Kam Kraków, R. Madejski Lwów, D Dorożyński Oddessa, C. Wańkowicz Mińsk, K. Lindenbaum Czerniowce, M. Kalinowska Kalisz, W. Thon Płock, J. Trepka Radom, K. Mazaraki Kielce, J Raczyński Kołomyja, H Górska Lwów, K. Stefański Lwów, M. Rychlik Jasło, S Sokołowski Kraków, S Kowalówka Kraków, W. Kowalówka Żywiec, Z Dębiński Lwów, J. Jahoda Cieszyn, H. Maciejowska Winnica, R Bukowski Kijów, M. Sikorska Stanisławów, J. Antosz Kołomyja, S Radomski Czerniowce, L. Krokowska Częstochowa, F. Zając Bochnia, F. Bätterfeind Lwów, W. Ostrowski Łódź, J. Łopatkiewicz Jasło, J. Czarkowski Uhnów, J. Lichański Warszawa, K. Cegielski Poznań, J. Popiel Kijów, M. Rieger Brody, H. Dębicki Lwów, S Bernatowicz Rzeszów, M Klimek Cieszyn, S. Wiewiórowski Warszawa, M. Gawrońska Mińsk, J Klapholz Przemyśl, D. Łopatyński Kraków, S Jasiński Rzeszów, W. Potocka Kraków, J Kozicki Stanisławów, L. Lang Kraków, T Szumski Ryga, J. Krawecki Borysław, F. Knopf Zakopane, K Armatys Lwów, H Chmurowicz Częstochowa, J. Walter Podwołoczyska, K. Misińska Złoczów, J Orzechowski Kalisz, Z Dębowski Petersburg, J. Śliwiński Brzostek, M Link Lwów, R Czapuczyński Kijów, H. Topolnicki Kamieniec, S Trojacki Wiedeń, K Karpowicz Mińsk, J. Sperling Wiedeń, J Zogaj Wilamowice, M. Ziebierzewska Kraków, K. Fuchs Czeremchów, Z Ciechanowska Stary Sambor, O Birner i R Stiel Zakopane, M Arbesbauer Lwów, K. Szumańska Rawa Ruska, W. Rapacz Bolęcin.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **Z. Debiński, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Tygodnik Rolniczy. Organ c. k. Towarzystwa Rolniczego krakowskiego. Rok XXIX. Nr. 1. Kraków 5 stycznia 1912 opuścił prasę i zawiera:

Od Redakcyi. — Precz z polityką w asocyacyi rolniczo-handlowej. — Kursy rolnicze zimowe w Nałęczowie. — Nornik. — O nawozach azotowych w powietrzu — Kilka uwag o artykule p St Komornickiego. — Z praktyki gospodarczej — Z Towarzystw i instytucyi rolniczych — Sprawy bieżące — Przewodnik gospodarski. — Wiadomości handlowe. — Szkody poczynione przez pryszczycę.

Zeszyt ozdobiony kilkunastu bardzo pięknemi illustracyami.

Głosy publiczne.

Z „Cyrku Edison“: Najnowszy program zaleca się niezwykle interesującym doborem obrazów; pierwszego rzędu atrakcyą jest wstrząsający dramat w trzech aktach, osnuty na tle życia codziennego pod tytułem: „W tej ważnej chwili....“ z niezrównaną Asta Nielsen w roli głównej.

Niemniej interesującem jest doskonale udane zdjęcie z pobytu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda na polowaniu na bażanty w dobrach hr Romana Potockiego w Łańcucie Programu dopełni zajmujący jak zawsze i aktualny Żurnal Pathego, oraz arcykomiczne zdjęcia z natury: „Radykalna kuracya“ i „Dziki siostrzeniec“.

„Lotnik i automobilista“. Organ Towarzystwa Automobilistów Królestwa Polskiego, wydał numer noworoczny w podwójnej objętości zamieszczając w nim szereg aktualnych artykułów przeważnie bogato illustrowanych Doniosłą sprawę podatku automobilowego, przeciw któremu Towarzystwo Automobilistów Król. Polsk. zaprotestowało w memoryale do władz Petersburskich, oświetla dokładnie fachowy krytyczny artykuł. Zajmujące uwagi o zadaniach kinematografu projektują stworzenie kinematografu naukowego, poświęconego sportom i lotnictwu Opisy aparatów lotniczych, artykuły z zakresu automobilizmu, dalszy ciąg wielkich teoretycznych prac, jak Jarkowskiego i Płużańskiego, interesujące wspomnienia lotnika Garrosa z wzlotów w Ameryce i t p składają dalszą bogatą treść numeru Ważne znaczenie dla wynalazców mieć będzie wykaz patentów i wynalazków, ogłaszany stale na podstawie wykazów urzędowych Zewnętrzna szata numeru, podobnie jak poprzednich, bardzo staranna i wytworna.

Ze świata kobiecego.

Paryżanki.

Paryż, 10 stycznia 1912 r.

Większość pań wyjeżdżających do Paryża wyobraża sobie, że już na samych ulicach napatrzy się wykwintnych strojów. Tymczasem jest całkiem inaczej;



Strojna suknia dla młodej panienki. Suknia z liliowego muślinu jedwabnego, przybrana girlandą róż na lampasie koloru *ivoire*. Z tego jedwabiu szmizetka.

w obecnej porze zimowej, Paryż roi się od kobiet ubranych czarno, lub szaro, w paltach do ziemi, od których tu i owdzie odskakuje jaskrawy kapiszon lub rewery; pootulanych mimo łagodnej pory w olbrzymie kołnierze futrzane, na których szczerzą zęby lisie, sobole i kunie główki. Na włosach, uczesanych na uszy, kapelusze niewielkie, kapotki, lub kołpaki, z pod których wyglądają twarze najczęściej wyzywająco wymalowane. Imponujących stroi ani cienia. I nie dziw, wobec ogromnych przestrzeni Paryża mieszkanki jego stale muszą uciekać się do różnych lokomocyi. Te więc panie, które posługują się zabłoconemi tramwajami, lub dusznemi *metro*, nie przywdziewają strojnych ubrań, te zaś które mogą pozwolić sobie na komunikacyę automobilem, choćby wynajętym, otulają się w ogromne *peliss'y*, głowy osłaniają szalami i baszłykami i przemykają się po ulicach Paryża tak, że ledwo smukłe ich sylwetki i wdzięcznie pochylone główki każą domyślać się, że to coś młodego i interesującego ukryło swe powaby w futerale zapożyczonym od Eskimosów.

Kto chce zobaczyć paryżanki w całym blasku strojów i piękności musi pofatygować się na *five o'cklock* w jednej z modnych cukierni lub do teatru. Szczególniej urządzane po teatrach i *variétes* z początkiem roku tak zwane *revue*, przeglądy w humorystyczny sposób przedstawiające wybitne wypadki i osobistości z ubiegłego roku, dają pole do występu całemu ciału artystycznemu i zaprezentowaniu najświetniejszych toalet i... najpiękniejszej bielizny! Są to pie ścidełka pracy kobiecej, w których więcej jest koronek niż batystu. Te wspaniałe *dessous* tak artystyczne, na kobietach tak pięknych przedstawiają właśnie owo najdonioślejsze niebezpieczeństwo dla ogólnej etyki, godzą nieledwie z tem że niemoralne, gdy jest tak estetyczne.

Niektóre na przykład występują w sukniach długich z gazy conajmniej w dwóch barwach, zlekka tylko osłaniających wdzięki, pozwalające tancerce wykazać nadzwyczajną sztukę skoków i póz w niezmiernie powłóczystych szatach. Umieją paryskie tancerki ubrać się prześlicznie, nawet, gdy występują w łachmanach: W E dorado widziałam tańce nędzarek z czasów rewolucyi, dochodzących do ekstazy, do zaślepienia, ilustrujące ruchami i mimiką wszystkie najniższe instynkta i rozpasanie, kończące się wyrazem nienawiści, która wydobywa sztylet z za gorsu i po szarpiących nerwy zapasach przebija słabszą przeciwniczkę. Otóż tancerki te wystąpiły bosonogie i w łachmanach, ale trzeba widzieć jakie te łachmany piękne i estetyczne. Chustka w barwach tureckiego szala, skrzyżowana na nagich ramionach druga, odmienna w tonie, lecz harmonizująca na biodrach, a z pod niej frendzla strzępów na pół metra długich na kilka centymetrów szerokich, z materyj nie obrębionych, nierówno obciętych, w barwie liści jesiennych. Wszystko to razem zlewa się w całość tak piękną, harmonijną i malowniczą, jak widok brzozowego lasu podszytego wrzosem w późnej jesieni.

Gdy w antrakcie oczy zwrócimy na salę, lub kroki do foyer, na każdym kroku spotkamy kobietę, lub przynajmniej strój, który nas zainteresuje.

Długi czas utrzymywało się powiedzenie, że Paryż jest rajem kobiet; ludzie lubiący bardziej dokładnie rzecz określać, dodawali: rajem młodych mężatek. I słusznie. Dla nich to przeznaczano najwspanialsze stroje, ozdoby, błyskotki; wszystko to, co je podnosi, wszystko, co czyni ponętnemi.

Obok ich królowania, obok ich blasku młoda panienka pozostawała w cieniu; w zwojach białego muślinu, w aureoli białych kwiatów, utrzymywana w ścisłej rezerwie aż do dnia, w którym mąż, odprowadzający od ołtarza, upoważnia swych przyjaciół do pierwszego pocałunku... w rękę.

Obecnie sytuacya zmieniła się zupełnie. Dzisiejsza panienka, szczególniej paryżanka, staje do zapasów z mężatką w zdobywaniu królowania w królestwie mody i tryumfów, uświęcanych dawniej przez ołtarz.

Dzisiejsza panienka - paryżanka ubiera się tak pięknie jak mężatka; nie nosi wprawdzie brokatów i starych koronek, ale sukienki lekkie, gazowe, przystraja złotem, galonami, frendzlami i kwiatami wszystkiemi bez wyjątku. W dzisiejszym salonie paryskim, lub sali opery panie nie dzielą się na róże i fijołki, lecz znajdziesz całą gamę kwiatów, a pozory pierwiosnka przywdzieje niejedna mężatka, tak jak



Suknia strojna dla młodych osób. Suknia z miękkiej tafty *vert lumière*, pokryta koronką *malines*, przybrana pasami skunksów i girlandami różyczek w tonach *rose fanée*.

niejedna astra lub chryzantema ukrywa w swych bogatych barwach wątłe ciało dziewczęcia, nieledwie podlotka.

Ramo...

LEONARD MERRICK.

POD MASKĄ KATA.

(NOWELLA).

Robert Bichon i August Ferris, byli obaj ulubieńcami publiczności, uczęszczającej do jednego z teatrów paryskich.

Robert był znakomitym tragikiem, August zaś wykonywał z niezrównanym talentem role komiczne i charakterystyczne, tak, że każde jego ukazanie się na scenie, zanim jeszcze słowo przemówił, wywoływało w audytoryum, wybuchy szczerego śmiechu. Poza sceną, obaj aktorowie, żyli w serdecznej przyjaźni, widywano ich najczęściej razem, gdyż pomimo różnicy temperamentu artystycznego, zgadzali się z sobą wybornie. Trwało to, dopóki obaj nie zakochali się w pięknej swej koleżance, Zuzannie Wernon. Obaj jednego prawie dnia oświadczyli się o jej rękę. Zuzanna była w wielkim kłopocie. Pochlebiały jej wprawdzie hołdy dwóch najznakomitszych członków trupy, ale z drugiej strony czuła to dobrze, że przyrzekając jednemu z nich swą rękę, urazi ciężko drugiego. Wahała się więc, odkładała, a gdy raz zażądali od niej stanowczej odpowiedzi, nalegając usilniej niż zazwyczaj, rzekła im pół żartem, że zostanie żoną tego, który w ciągu bieżącego sezonu odznaczy się wybitniej od drugiego w jakiejś nowej i zupełnie oryginalnej roli.

— Ktoż więc rozstrzygnie między nami? — pytali obaj pięknej Zuzanny.

— Sędziami będą koledzy nasi i koleżanki — odparła artystka. — Ten z was, który otrzyma za sobą więcej głosów, zostanie moim mężem. — Obaj przyjaciele, którzy od pewnego czasu stronili od siebie, udali się obaj zgodnie, jak dawniej, do ulubionej swej kawiarni, gdzie usiadłszy na terasie, popijali kawę, przeplatając ją cygarkiem, i użalając się na kapryśną piękność.

— Musimy to zakończyć pokojowo, — rzekł wreszcie tragik, — jeden z nas ustąpi dobrowolnie, pozostawiając drugiemu zupełną swobodę działania.

— Tak, tak — powtórzył artysta komik, — masz zupełną słuszność, musimy to ułożyć między sobą, jak przystało na mężczyzn i ludzi honoru.

Żaden jednak nie śpieszył z wymówieniem stanowczego słowa, oczekując jakiegoś nadzwyczajnego wypadku, któryby sam pokierował ich losem. Pogrążeni w owych wątpliwościach, nie widzieli ciekawych spojrzeń, zwróconych na siebie, nie zauważyli też pewnego przechodnia, który operował już od pewnego czasu po chodniku tuż obok ich sto lika, i spoglądał na nich ukradkowo.

Jegomość ów zatrzymał się wreszcie przy nich i rzekł uchylając kapelusza.

— Wybaczcie panowie, że pozwoliłem sobie ścigać was, aż tutaj, ale zmusza mnie do tego pewna nagląca sprawa osobista.

— Czy nie mógłbyś pan odłożyć jej na inny czas — odparł niechętnie Ferris, jesteśmy w tej chwili bardzo zajęci.

— Niestety! — odparł tamten, — interes mój nie cierpi zwłoki. Za parę dni wystąpić mam z publicznym odczytem, a nie przemawiałem dotąd nigdy publicznie, mimo że już od lat 20 odgrywałem trudną i ciężką rolę na scenie życia.

— Więc była to rola niema? — zapytał Robert Bichon.

— Tak jest — odparł nieznajomy.

— Czemże więc byłeś pan dotąd? — spytali jednogłośnie obaj przyjaciele.

— Katem Paryża — odparł nieznajomy.

Usłyszawszy to oświadczenie, August Ferris i Robert Bichon, cofnęli się mimowoli z krzesłami — a jeden z nich rzekł:

— Więc pan jesteś?...

— Jakubem Leroux, katem Paryża — powtórzył raz jeszcze czarny jegomość. — Ale nie lękajcie się panowie, spełnicie dobry uczynek, podając rękę człowiekowi, który przejrzał wreszcie światło prawdy. Urząd kata jest, jak zapewne wiecie dziedzicznym w mojej rodzinie, praktykowałem go przez lat 20, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyniłem, ale dziś nie dałbym się już żadną miarą nakłonić do pełnienia ohydnego tego rzemiosła. Jestem teraz zdecydowanym przeciwnikiem kary śmierci i mam wygłosić cały szereg odczytów, w których dwudziestoletnie moje doświadczenie wykaże, jak okropną i barbarzyńską jest ta przestarzała instytucya.

— To wszystko bardzo piękne — zauważył Ferris, — nie rozumiem tylko w czem możemy być panu pomocni. — Chciał w gruncie rzeczy pozbyć się jak najprędzej natręta. Ale kat nie myślał odchodzić, owszem usiadł naprzeciw obu przyjaciół, i opowiedział im z prostotą, że zamierza prosić ich o wskazówki, jak ma zachować się na estradzie, jakoteż o parę lekcyi deklamacyi, koniecznych zdaniem jego, przed wygłoszeniem odczytu.

Ale Ferris słuchał niechętnie słów kata i chciał odejść, wtedy Bichon zatrzymał go mówiąc:

— Zaczekaj chwilę! Chcę zrobić panu Leroux pewną propozycę. Ile spodziewasz się pan za swój odczyt? — dodał zwracając się do kata.

— Nie wiem dokładnie, obiecują mi około 500 franków.

— Gwarantuję panu te pieniądze, prócz tego dodam paręset franków z własnej kieszeni, pod warunkiem jednak, że pozwolisz mi zająć swoje miejsce.

— Nie rozumiem — przerwał kat. Ale Ferris zaczynał rozumieć. Więc to będzie rola, którą Bichon chce odegrać dla zdobycia Zuzanny. Ciekawa rzecz, jak się z niej wywiąże.

Nazajutrz olbrzymie afisze zapowiedziały senzacyjny odczyt Jakóba Lerouxa, byłego kata Paryża. Tłumy pospieszyły na ów odczyt, i sala był szczelnie wypełniona w chwili gdy prelegent wchodził na katedrę.

Prelegentem tym był Robet Bichon, artysta dramatyczny. Ale ucharakteryzował się on tak genialnie i upodobnił tak dokładnie twarz swoją do twarzy Jakóba Leroux,że najbliższy przyjaciel rozróżniłby ich z trudnością, ujrzawszy ich obok siebie. Ferris tylko i Zuzanna wtajemniczeni byli w tę zamianę osób, reszta publiczności najmocniej była przekonana że ma przed sobą prawdziwego Jakóba Leroux, nawróconego kata.

Robert Bichon wywiązał się wybornie ze swego zadania. Opowiedział pokrótce dzieje młodości Jakóba Leroux, podniósł fatalizm, który od urodzenia napiętnował go na przyszłego zabójcę, skreślił obraz kilku ponurych egzekucyi, agonie skazanych, potworne szczegóły niektórych zbrodni. Napięcie słuchaczy, rozsło z każdą chwilą. Najsilniejsze wrażenie, wywołało opowiadanie o zgilotynowaniu pewnego młodzieńca, którego skazano na śmierć pod zarzutem strasznej zbrodni, mimo że jak się później okazało, wcale jej nie popełnił. Tryumf artysty był zupełny. Skoro skończył, publiczność pożegnała go burzą oklasków. Kobiety wspinały się na palcach aby go widzieć, zawsze w przekonaniu, że mają przed sobą prawdziwego kata. W chwili, gdy odpoczywał w gabinecie przyległym do sali odczytowej, wręczono mu kartę wizytową, zaopatrzoną w hrabiowską koronę. Na karcie tej wyczytał następujące słowa:

„Hrabia de Theweney, zachwycony pańskim odczytem, prosi pana do siebie dla omówienia z nim dalszej akcyi dla obalenia kary śmierci“.

Chcąc utrzymać się do końca w przyjętej na siebie roli, Robert Bichon pojechał pod wskazanym adresem nie zmieniając stroju i z twarzą ucharakteryzowaną na Jakóba Leroux. Gdy przybył na miejsce wprowadzono go do pięknego bogato umeblowanego gabinetu.

— Pan hrabia przyjmie pana za chwilę — objaśnił go lokaj i wyszedł zostawiając go samego. Artysta oceniał okiem znawcy staroświeckie sprzęty i zbroje, prócz tego uderzył go wiszący nad biurkiem portret pięknego młodzieńca, przykryty czarną krepą.

Wreszcie hrabia wszedł do gabinetu. Był to człowiek stary, tak stary, iż zdawał się z trudnością utrzymywać na nogach. Czoło jego poryte było w gęste bruzdy, usta zapadłe, na głowie jeżyły się resztki siwych włosów, a wśród żółtej pomarszczonej twarzy, gorzały dziwnym blaskiem ponure czarne oczy, oczy fanatyka. One jedne dodawały trochę życia, zwiędłej tej, zniszczonej twarzy. Widok tego zgrzybiałego starca, wywołał przykre wrażenie na artystę, który spodziewał się zastać tu wykwintnego arystokratę. Starzec wypowiedział parę niezrozumiałych wyrazów i wskazał drżącą ręką fotel, zachęcając gościa, aby usiadł.

— Czuję się wysoce zaszczycony uprzejmem zaproszeniem pańskiem — rzekł uprzejmie Bichon.

— Niema co mówić o zaszczytach — mruknął starzec. — Wszyscyśmy równi, a jedyną plamą człowieka, jest śmierć, o której rozprawiałeś pan tak wymownie. Ale zanim przystąpimy do dalszej przeciw niej akcyi, zechciej pan proszę pokrzepić się tym starym Burgundem. To mówiąc, wskazał na omszałą flaszkę wina, z której mniemany kat nalał sobie na uprzejme zaproszenie gospodarza, jeden i drugi spory kielich.

— Wypowiedziałeś pan po mistrzowsku swój odczyt — mówił dalej hrabia — a zwłaszcza skreśliłeś pan wspaniale scenę śmierci Wiktora Lesuer, który zginął niewinnie pod gilotyną. Umierał on jak mówiłeś odważnie.

— Jak bohater! — odparł Bichon delektując się wybornym burgundem.

— Tak umierają niewinni — szepnął hrabia — Ale czy wiesz pan dlaczego sprawa ta interesuje mnie bliżej? Czy zauważyłeś portret okryty krepą, wiszący nad biurkiem. Artysta podniósł machinalnie wzrok na ów portret, nie wiedząc do czego zmierza ponury starzec, który robił na niego coraz więcej wrażenie maniaka.

— To był mój syn, panie Leroux, — rzekł wtedy hrabia mocnym głosem — jedyny mój syn, który zginął z rąk twoich.

— Pański syn — szepnął zmieszany artysta. — Ależ nazwisko jego?

— Ukrywał się pod przybranem nazwiskiem Wiktora Lesnera dla oszczędzenia hańby rodzinie. A jednak był on moim synem, jedynym człowiekiem, którego kochałem na ziemi.

— Byłem tylko wykonawcą prawa, nie jestem odpowiedzialnym za śmierć jego, — bronił się mniemany kat cokolwiek zmieszany.

— Wiem, wiem, panie Leroux, odczyt twój był wspaniały, a i wino musiało ci smakować.

— Wino! — zawołał artysta uderzony nagle straszną myślą — więc to wino?

— Było zatrute, panie Leroux — rzekł hrabia, a wzrok jego błysnął dzikiem zadowoleniem, podczas gdy biedny Bichon zachwiał się na nogach, czując już prawie skutki fatalnej trucizny.

— Wielkie Nieba! — zawołałał z rozpaczą, — popełniłeś straszny błąd potworny starcze! Zabiłeś niewinnego. Nie jestem Jakóbem Leroux. Patrz oto!

Tu zbierając resztki sił zerwał z siebie perukę, odrzucił sztuczny zarost, rzucając te przedmioty na ziemię, poczem osunął się bez sił na krzesło. Ale w tejże chwili drzwi gabinetu rozwarły się szeroko i wpadła przez nie wesoła gromada, śmiejąca się i rozbawiona. Bichon nie wierzył własnym oczom. Była to własna jego trupa, koledzy i koleżanki, a wśród nich piękna Zuzanna. Brakowało tylko Augusta Ferris. Ale w tej chwili mniemamy hrabia, pozbywał się jak on przed chwilą peruki, maski i innych przyborów. Bichon zrozumiał wybieg. Uznał się za zwyciężonego, a ujmując rękę Zuzanny, złożył ją w ręce przyjaciela mówiąc:

— Życzą wam z całego serca szczęścia, jako stały niezmienny wasz przyjaciel. Wieść o zakładzie obu artystów rozeszła się po mieście, przysparzając słuchaczy prawdziwemu Jakóbowie Leroux, który zdobył sobie dzięki temu uczciwy kawałek chleba.

KONIEC.

Cierpicie bóle? Reumatyczne, podagryczne, ból głowy, zębów? Nabawiliście się czego przez przeciąg, przeziębienie? Spróbójcie jednak uśmierzającego bóle, gojącego, wzmacniającego fluidu Fellera z marką „Elsafluid“. — Jest on rzeczywiście dobry! — To nie jest reklama! Probny tuzin 5 kor. franko. Wytwórcą jest tylko aptekarz **E. V. Feller w Stubicy, Elsaplatz Nr. 127** Kroacya. (1)

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien **Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego** **Kraków, Plac Szczepański L. 2** (dom własny). **Telefon 331**

Każda Pani

ktora o zdrową pielęgnacyę skóry dba, a przeważnie piegi zgubić chce, jak i miękką skórę i białą cerę utrzymać zamierza myje się tylko

Mydłem „Steckenpferd“
z mleka liliowego
(Marka ochr. Steckenpferd)
Bergmanna & Co., Tetschen a. E.

sztuka po 80 hal. do nabycia w aptekach, drogeryach i składach perfumeryi.

Piękności

i taniości moich artystycznych kart widokowych, nie dorównała dotąd jeszcze żadna inna firma.

Zawsze nowości w kartkach, artystycznych, z pięknościami kobiet, seryach scen miłosnych, dzieci, kwiatów, krajobrazów, kart na Boże Narodzenie, Nowy Rok, Wielkanoc, Zielone święta, urodziny i imieniny w bardzo pięknem, artyst. wykonaniu.

10	szt.	sort.	opłatnie	K	—·45
20	„	„	„	„	—·70
50	„	„	„	„	1·60
100	„	„	„	„	3·—
200	„	„	„	„	5·20
500	„	„	„	„	12·60
1000	„	„	„	„	24·—

Wysyłka wprost do ludzi prywatnych. Wysyła po otrzymaniu z góry należytości, zamówienia wyżej 2 Kor. za zaliczką.

C. i k. nadworny dostawca
Hanns Konrad Dom wysyłk. **w Brüx Nr. 2939 (Czechy)**

Żądaj Pán bogato illustrowanego katalogu głównego z 4000 odbitek darmo i opłatnie.

Kobiety naszego kraju

mają cerę już z natury bardzo ładną, jednakże bardzo wrażliwą na ostre mrozy i na zbyt silne słońce. Aby zabezpieczyć się przed opaleniem, pękaniem i czerwienieniem się skóry, używajcie codziennie **Crème Simon** jakoteż **pudru i mydła Simona;** żaden inny krem nie wytrzymuje z nim porównania. Do nabycia: J. Simon, Paryż 59, faubourg Saint-Mar.

Fabryka pieców kaflowych TOMASZA DANZA

(Właścicielka p. Danzowa)

w Krakowie, Zwierzyniec. — Tel. 2331

Poleca **Piece kaflowe** w różnych gatunkach i kolorach oraz **Kuchnie** wszelkich typów.

Szczególniej zasługują na uwagę **Piece białe**, odznaczające się czystością i białością od wszelkich innych dotychczas wyrabianych. — Wszelkie reperacye, przestawiania wykonuje szybko i punktualnie po cenach nader przystępnych.

Na żądanie wysyła się cenniki i próby kafli darmo i opłatnie.

Swiatło spirytusowe „Wiktorin“

jest najlepszem, najdoskonalszem i efektownem światłem światowem dla wszelkich zapotrzebowań w życiu!

Zalety:

Minimalna konsumcya materyału, nieograniczone używanie, nieograniczona trwałość, absolutne bezpieczeństwo, niedorównana siła światła, łatwy transport, gustowny wygląd.

Patentowane we wszystkich krajach. — Odznaczone pierwszymi nagrodami.

Daleko idąca gwarancya.

Lampy i szkła w pięknym wykonaniu według osobnego cennika i prospektów.

FABRYKA TOWARÓW METALOWYCH
Wiktorin & Co.
Wiedeń V., Margarethenstrasse Nr. 120.
Skład wzorów Wiedeń VI., Magdalenenstr. Nr. 6.
Składy: w Wiedniu II., Taborstrass 17.
w Wiedniu III., Alserstrasse 21.
w Bernie, Lichtensteingasse 2.
w Budapeszcie, Baross utca 1.
w Pradze, Herreng. 16, Palace Hotel.

„OLLA“ udowodniona hygieniczna najlepsza specyalność gumowa.

2-letnia gwarancya.

Wszędzie do nabycia.

Cenniki darmo z fabryki gumy

„OLLA“
Wiedeń II/56.
Praterstrassse Nr. 57.

Zawiadomienie!

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szan. P. T. Publiczność, iż otworzyłem

Kawiarnię i Restauracyę
w Hotelu Monopol
dawniej **Hotel Kleina**
w Krakowie, ul. Gertrudy l. 6. Tel. Nr. 405.

Osobne pokoje do gry! 3 duże bilardy!

Duża ładnie urządzona, elektrycznie oświetlona, dobrze wentylowana sala. — Mnóstwo dzienników krajowych i zagranicznych. — Otwarcie zupełnie odrestaurowanego i odnowionego według najnowszych wymogów lokalu, pozwalam mi polecić się względom Szan. P. T. Publiczności

Z poważaniem **ZYGMUNT BILLET.**

Lokal otwarty do godz. 2 w nocy.

„Kowalskina“

Pastylki contré migraine
aptekarza Kowalskiego z Warszawy
utrzymuje na składzie i wysyła po cenach oryginalnych
„Czternasta apteka“ W. Radwańskiego przy ul. Lubicz **w Krakowie,** obok dworca kolejowego. Telefon 2182.

BIUST

stanowi ozdobę każdej kobiety, tylko nie jest u każdej należycie rozwinięty, wskutek czego kobiety w każdym wieku tracą wiele ze swej urody. Starają się w różny sposób temu zapobiedz. W pierwszym rzędzie różni wytwórcy polecają swoje preparaty do wzmocnienia biustu. Te we wszystkich gazetach szumnie zachwalane środki, są zwykle bezwartościowe, o czem się przeważna część próbujących pan sama przekonała. Jest całkiem jasne, że za 1 lub 2 korony nikt niczego nie może dostarczyć, coby choć częściowy skutek sprowadziło. Wszystkie te środki obliczone są na wyzysk P. T. Publiczności i jej nieświadomość. Pozwalam sobie polecić P. T. Paniom, środek, który **życzony cel osiąga:** jedyny w swoim rodzaju.

Używanie jego tylko zewnętrzne. Działanie jest tak ogromnie szybkie, że nawet u starszych kobiet spostrzega się już po najkrótszym czasie. Młodsze kobiety zdumiewa ten środek w prawdziwem tego słowa znaczeniu. „Louvre“ jest środkiem bez porównania. Jedna jedyna flaszka wystarcza w zupełności i kosztuje 6 K.

Wysyłka nieznaczna bez podawania zawartości, za zaliczką.

J. KUKLA, Praga, ulica Perlowa L. 162.

Dobra harmonijka K. 4·40.

Wolne od cła! **150 000 sztuk sprzedanych.** Bez ryzyka!

Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy

Nr. 300 3/4:	10 klaw.,	2 rej.	28 głosów,	wielk.	24×12 cm.	K. 4·40.
Nr. 654 3/4:	8 „	1 „	24 „	„	28×14 „	„ 4·80.
Nr. 656 3/4:	10 „	2 „	28 „	„	30×15 „	„ 5·40.
Nr. 305 3/4:	10 „	2 „	50 „	„	24×12 „	„ 6. —.
Nr. 663 1/4:	10 „	2 „	50 „	„	31×15 „	„ 8·—.

Samouczek do każdej harmonijki za darmo.

Wysyła wprost do osób prywatnych za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości przez znaną ze [illegible] ności światową firmę c. i [illegible] dostawca

HANNS KONRAD
dom wysyłkowy towarów muzycznych w Brüx, Nr. 2915 (Czechy).

Zażądaj Pan mego bogato illustr. katalogu głównego z 4000 rycin.

Gumowe i rybie

artykuły hygieniczne dla pań i panów oraz inne środki ochronne z powodu wielkiego zbytu niezleżałe zawsze świeże poleca **taniej jak wszędzie**

Drogurya Z. Komorowskiego
w Krakowie, ul. Floryańska L. 33
róg ul. św. Marka.

Wysyłki na prowincyę **opłatnie nie licząc opakowania** dyskretnie **po Kor. 5·—, 7·— i 10·— za tuzin.**

Wysyłam broń wszelkiego rodzaju, jak „Hammerlessy“, Dryllingi, lankastrówki, floberty, rewolwery, pistolety i t. d. w cenach fabrycznych. Reparacye jak najtaniej. Dla osób zaufania godnych dogodne spłaty. Wysyłam lepszą broń na 8 dni na próbę i do oglądnięcia nie zobowiązując tem do kupna. Ilustr. cenniki darmo. **Fr. Dušek,** fabryka broni **w Opoćnie** przy drodze kolei żelaznej Nr. 2062 (Czechy).

Artykuły gumowe francuskie antiseptyczne

tuzin po 5 K, 8 K, lub 12 K franko.

Wysyła w powyższych cenach **dyskretnie,** jedyny zast. prawdziwych wyrobów gumowych francuskich

Aptekarz EDELMAN
SAMBOR.

4000

rycin, artykułów użytkowych i podarków różnego rodzaju zawiera mój najnowszy główny katalog, który na żądanie każdemu

darmo

i opłatnie przesyłam c. i k. nadworny dostawca: **Hanns Konrad, Brüx Nr. 2955** (Czechy).

Słabi nerwowo mężczyźni!

Natychmiastowe odzyskanie słabnących sił, wypróbowany środek, który żadnych szkodliwych następstw nie pozostawia.

Tabletki „Evaton“

Na próbę K 4·20, ½ kartonu K 10·—, 1 kart. K 18·— za zaliczką lub poprzed. nadesłaniem należytości sprowadzić można tylko przez

Aptekę „Św. Marka“ Wiedeń III,
Hauptstrasse 130, Oddział 27.

„HOTEL NARODOWY“

Kraków, ul. Poselska L. 22

Po przejściu na innego właściciela **gruntownie zewnątrz i wewnątrz odrestaurowany.** Pokoje na parterze i piętrze nowo urządzone, parkiety, światło elektryczne, korytarze ogrzewane. Restauracya, łazienki, telefon i stajnia w miejscu. **Ceny pokoi przystępne wraz ze światłem i usługą.**

Lalki Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze **C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE ul. Grodzka 2**

Modne damskie Torebki, Walizy, Necesery podróżne, Kasetki z przyborami do paznogci i szycia, Portmonetki, Papierośnice, Perfumy, Mydła, Biżuterya, Wachlarze, Rękawiczki, Pledy angielskie, Krawaty, poleca **Anastazy Froncz** **Kraków, Floryańska L. 17.**

Lwów :: ul. Halicka 21 **Lalki, Zabawki, Nowości** w Galanteryi, Mydła, Perfumerye Tlenu i francuskie poleca **Klinika i ubieralnia lalek we Lwowie.**

Zagadki do nagrody.

Bilety wizytowe.

Ułożył J. Żugaj, Wilamowice.

Z liter podanych na biletach ułożyć zajęcie każdej z tych osób.

CZ. KIEDLECKI
Karwina

ROMAN IZIK

ERAZM ST. GIRZ

JAN MAREK IZYDOR KOWYJOCY
Pola

Szarada.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Pierwsza jest rzeką w odległej krainie,
Jeśli zaś na co przyjdzie pierwsza z trzecią,
Żałatw to szybko, bo gdy ona minie,
Żałować będziesz, choć i lata zlecą,
Drugą i trzecią znajdziesz łatwo w lesie,
Ch ć i w ogrodach masz jej pełno wszędzie,
Całość nakoniec, pono, jak słuch niesie,
Nigdy nie szkodzi i szkodzić nie będzie.

Szarada.

Ułożyła M. Sulma, Skawina.

W liter rzędzie
Pierwsza będzie
Druga z trzecią wiele znaczy
Dla z...m et ły h graczy,
Lecz *całości* się wystrzegaj
I do domu prędzo biegaj!

Szarada.

Ułożyła M. Sulma, Skawina.

Pierwsza zaimek, *drugie i trzecie*
Urokiem swoim wabią nas w lecie,

Tam zdroje czyste
Dęby cieniste.
A śpiew słowika
Duszę przenika.

Kiedy tak mile używasz w czasu
Tu *całość* tyle sprawia hałasu,
Zawsze tak bywa gwarna, burzliwa,
Starych i młodych w swój wir porywa.
Niejeden tryumf krwią się tu płaci
A choć nie własną, to swych współbraci,
Ten szuka dobra ojczystej sprawy
A inni tylko dla siebie sławy.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Co? Teraz dają im z rąk misy z mąką i raki... E!...

Łamigłówka.

Ułożył W. Rapacz, Bolęcin.

Z podanych wyrazów wyjąć po jednej literze i utworzyć z nich znane polskie przysłowie:

Akt, tam, nóż, dar, rym, sam, boa, bas, wir, lew, róg, aza, mer, pot, hak, sęp, cis, kos, mur, tom, bez, lin, len.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. N. Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Łapka, pajac, taca, kara.

Zagadka.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Ze słów poniżej podanych idąc w kierunku z góry na dół, wyjąć po jednej literze, tak, aby utworzyły początek znanej kolędy.

Gwiazdka
Boże Narodzenie
Bydło
Siano
Betleem
Wigilia
Pasterka
Kolęda
Stajenka
Żłóbek
Chrystus.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Wiktora Scheffla:* **Ekkehard.** Powieść z X. wieku.

Niespodzianki na Gwiazdkę!
przyjęte są w wielu domach.

Jednak często kupujący nie zważają na praktyczność podarków nabytych za drogi pieniądz. Jedynym podarkiem, stanowiącym w domu przyjemną odmianę jest **ulepszony gramofon z marką „Aniołek piszący“**. W chwilach smutku spędza zły humor, rozwesela starych jak młodych, zastępuje muzykę każdego rodzaju, i stał się ten gramofon dzisiaj poniekąd sprzętem niezbędnym w gospodarstwie domowem. Niech więc nikt przy zbliżającym się św. Mikołaju nie ominie sposobności zakupienia **ulepszonego gramofonu z marką „Aniołek piszący“**





u wyłącznego zastępcy na Galicyę i Bukowinę

Józefa Wekslera

we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej L. 2

W KRAKOWIE

przy ul. Floryańskiej 25 i ul. Grodzkiej 71.

Ogromny wybór płyt na składzie.

Cenniki wysyła się darmo i opłatnie. Ulgi w spłatach ratalnych.

Rok założenia 1900 **PIERWSZORZĘDNY** Rok założenia 1900

ZAKŁAD KRAWIECKI

NA ZAMÓWIENIA

Jedyny skład ubrań gotowych

wyrobu krajowego.

Kraków ul. Floryańska 7, tuż przy Rynku

Filia: Lwów, pl. Halicki 7 (gdzie Cent. Kawiarnia)

Związek katolic. krawców

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką.

Tanie pierze i puch

1 klg. szarego dartego K 2·—, **lepszego** K 2·40, półbiałego I-a 2·80, białego K 4·—, I-a miękk. jak puch K 6·—, **najlepszego I-a** K 7·—, 8·— i 9·60. **Puch** szary K 6·— i 7·—, biały I-a K 10·—. **Puch** z piersi K 12·— od 5 klg. począwszy franko.

GOTOWA POSCIEL

z gęstego, czerwonego, niebiesk. lub białego poszwu, **1 pierzyna** około 180 cm. gług. 120 cm szer. wraz z 2 poduszkami, każda około 80 cm. dług. 60 cm. szer. dostatecznie napełniona, nowem szarem, puszystem i trwałem pierzem K 16·—, półpuchem K 20·—, puchem K 24·—. **Pojedyncze pierzyny** K 10·—, 12·—, 14·— i 16·—. **Pojedyncze poduszki** K 3·—, 3·50 i 4·—. **Pierzyny** wielk. 200×140 cm. K 13·—, 15·—, 18·— i 20·—. **Poduszki** wielk. 90×70 cm. K 4·50, 5·—, 5·50. Prześcieradła z najl. płótna gradlowego wielk. 180×116 cm. K 13·— i 15·— przesyła za pobraniem lub za poprzednem nadesłaniem gotówki.

Max Berger, Deschenitz Nr. 406 a, Böhmerwald.

Bez ryzyka, ponieważ wymiana dozwolona, lub zwrot pieniędzy. Bogato illustr. cenniki wszelkiej pościeli darmo.

Odkryte tajemnice gry w loteryę

wskazówki do pewnego wygrania wysyła listownie tylko **J. Mohler, Lwów, Wałowa 15** za nadesłaniem Kor. 1·20 we Lwowie do nabycia w kolekturze, Wałowa l. 15 lub Księgarnia Ignacy Menkes, Batorego l. 26.

Proszę żądać

darmo i opłatnie mego bogato ilustr. głównego katalogu z 4 tysiącami rycin zegarków, wyrobów złotych, srebrnych, instrumentów muzycznych, wyrobów stalowych i skórzanych, towarów galanteryjnych i broni

c. i k. nadworny dostawca

Hanns Konrad

w Brüx Nr. 2902 (Czechy).

Prawdziwy szwajcarski zegarek Nickel-Anker-Remontoir. system Roskopf-Patent K. 5, 3 sztuki K. 14. Rejestr. „Adlers-Roskopf“ Nickel-Anker Rem. K. 7· Prawdziwy srebrny zegarek Remont. otwarty K. 8·40.

Bez ryzyka! Zamiana lub zwrot pieniędzy.



Corsets C. P. à la Sirène Paris

pierwsza marka paryska

GORSETY H. P. COSMOS

najlepszy amerykański wyrób

nadają każdej postaci wdzięczną figurę, która co do elegancyi jest niezrównaną. Te gorsety przylegają do ciała jak rękawiczka, nie ugniatając piersi i bioder.

Coraz bardziej wzrastający popyt najlepiej świadczy o jakości tych pierwszorzędnych fabrykatów.

HERMAN PIESEN

znany specyalista gorsetów w Monarchii.

Kraków, Grodzka 4

Filie: Wiedeń i Lwów.

Oddział ekspedycyjny wysyła katalogi luksusowe darmo i opłatnie.

Rok założenia firmy 1898.

Niechaj Pan nie wierzy

że choroba przejdzie sama przez się. Jeżeli jest Pan chorym, niechaj Pan natychmiast stara się temu zaradzić, gdyż kaszel, ból w piersiach, zaflegmienie, brak apetytu, chrypka, poty nocne i osłabienie są często zapowiedzią ciężkich chorób. Jeżeli się takie objawy pokażą, nie zwlekaj Pan, ale natychmiast zamów

Örkény'ego syrop z miodu lipowego,

który łagodzi kaszel, uśmierza krwotoki, uwalnia od flegmy, usuwa poty nocne, poprawia apetyt, zwiększa wagę ciała, ułatwia oddychanie, usuwa bezsenność i zapobiega rozwijaniu się cięższych chorób. Jeżeli Pan zamawia próbną flaszkę za K 3·— lub dużą flaszkę za K 5·—, prosimy list lub przekaz pocztowy adresować wprost do apteki

Hugona Örkény'ego, Budapeszt, Thököly-út 28. Dep. 32



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 759.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru

Podejmuje się wykonania grobowców w mieście i na prowincyi

Stare przysłowie powiada,

że wszystkie ludzkie przyjemności mieszczą w sobie zazwyczaj wielkie niebezpieczeństwa. Czy to na balu, na ślizgawce lub wreszcie przy jeździe sankami, wszędzie można się dobrze przeziębić i przyjemność przypłacić potem długiem siedzeniem w domu połączonem z bólami i przykremi objawami ciężkiego kataru. Dlatego należy zawsze przy tego rodzaju zabawach mieć przy sobie Faya prawdziwe Sodeńskie mineralne pastylki, które są w użyciu bardzo przyjemne, zabawy nie psują a jednak wcale poważnie zapobiegają nieszczęściom. Faya Sodeńskie pastylki kosztują pudełko po K 1·25 i są wszędzie do nabycia.

Szkoła kroju i szycia

oraz

Pracownia sukien i kostyumów damskich

pod firmą **„WANDA“**

dyplom. uczen. paryskiej Akademii umiejętności.

Kraków, Karmelicka 14.

Krój angielski i francuski.

---

500 Koron!!

zapłacę temu, komu moja maść „Ria“ niszczycielka korzeni w trzech dniach bez bólu nie usunie nagniotków, skóry zrogowaciałej i kurzawek. Cena 1 słoika razem z pisemną gwarancyą K 1·—

Kemény, Kaschau

I. Fach poczt. 12/59, Węgry.

Lampy naftowe.



Różecki i Janowski, dawniej

R. DITMAR, Kraków, Rynek 22

poleca wielki wybór

lamp naftowych i elektrycznych

po cenach fabrycznych.

Wszelkie przybory do lamp naftowych i elektrycznych.

Serwisy porcelanowe

od koron **25** do **900** koron.

Zastawy szklanne

do codziennego użytku i luksusowe z czeskich, belgijskich i francuskich fabryk.

Ceny niskie i stałe — Towary zbytkowne, jako to: figury, wazony i t. p.

Karmelki Warszawskie twarde, miękkie i nadziewane **CUKRY** **i Marmoladki czysto-owocowe** poleca **Pierwsza Galic. Fabryka Warszawskich Cukrów i Marmolady A. Sobolewski i Ska** Spółka z ogr. odpow. **Podgórze.**

C. K. DOST. NADW.

„UNDERWOOD“

Generalny zastępca na Galicyę

EMIL URICH, Lwów, ul. Sykstuska 29 ○ Tel. 901

Kraków, ul. Szewska 19 ○ Tel. 1164

poleca **oryginalne amerykańskie maszyny do pisania z zupełnie widocznem pismem.**

Maszyny do powielania, rachowania i kopiowania listów. Przybory do maszyn wszelkich syst. Szkoła nauki pisania na maszynach według amerykańskiego systemu. Zakład przepisywania i powielania pism na maszynach.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.